

TYGODNIK ILLUSTROWANY



W KOŚCIELE MARYACKIM

ST. BAGIEŃSKI

HENRYK MOŚCICKI:

O HONOR NARODU.

Z powodu setnej rocznicy bitwy rasyńskiej.

Dnia 24 marca 1809 r. zamknięto obrady pierwszego sejmiku Księstwa Warszawskiego. Wyniszczone fiskalnym uciskiem pruskim, niedawną wojną i nadmiernymi zaciągami wojskowymi społeczeństwo wchodziło, zda się, obecnie na drogę normalnej, pokojowej pracy odnowicielskiej, mającej uleczyć rany klęsk ostatnich lat kilkudziesięciu. Krecya niewielkiego państewka pod kuratelą francuską nie mogła, rzecz prosta, zaspokoić narodu, iść na załedwie małą część jego pragnień. Krew polską, przelaną na wszystkich polach zwycięstw napoleońskich, zbyt skromnie oszacowano. Księstwo Warszawskie, jak słusznie przewidywał Kołłątaj, nie ostało się, „tak jak jest”; ten „zagadkowy” twór polityczny skazany był z góry na wchłonięcie przez którekolwiek z mocarstw sąsiednich, jeśli nie miał stanowić formacji przejściowej w restytucyjnych projektach Napoleona względem Polski.

Zdając sobie mniej lub więcej dokładnie sprawę z politycznej roli Księstwa, nie opuszczono wszakże rąk bezradnie, lecz z całym wysiłkiem, stwierdzającym potęgę uczuć narodowych, wzięto się do ofiarnej, wytężonej pracy organizacyjnej.

Sejm przyjął niemal wszystkie przedłożenia rządowe, prawie bez protestu uchwalił budżet, przewyższający znacznie preliminarze sejmowe za Rzplitej, w roku 1791. Choć niekiedy odzywały się głosy niechętnie, wyszydzące w brukowych epigramatach „Księstwo warszawskie, a pieniądz pruskie, wojsko polskie, król saski, a kodeks francuski”—ogół narodu łączył się w powszechnym uwielbieniu dla Napoleona, upatrując w Księstwie zapowiedź odradzającej się Polski.

Aliści wkrótce po zamknięciu obrad sejmowych, rokujących jak najlepsze nadzieje rozwoju wewnętrznego kraju, sam byt tegoż został poważnie zagrożony skutkiem wypowiedzenia przez Austrię wojny Napoleonom i natychmiastowej inwazji austriackiej w granice Księstwa.

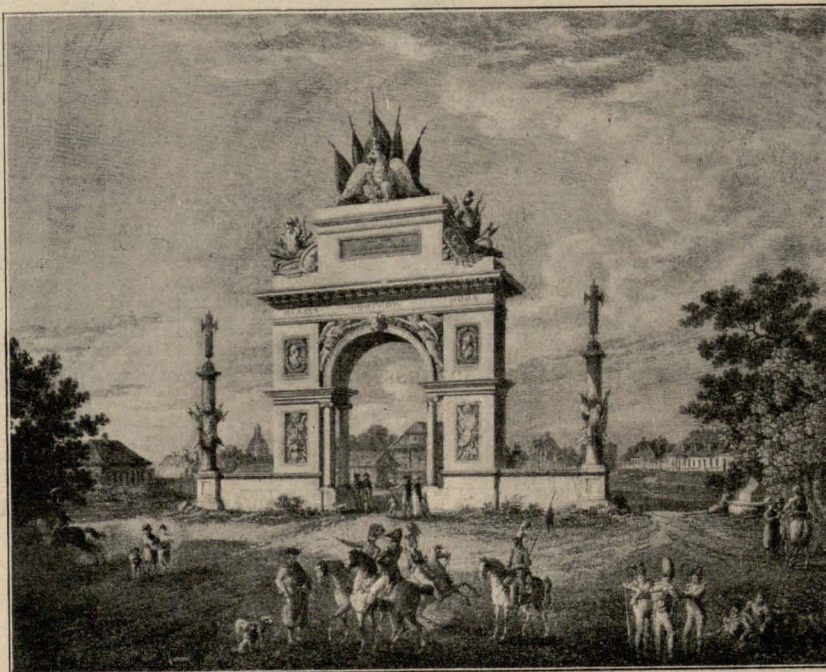
Rankiem 15 kwietnia 1809 roku otrzymał ks. Józef Poniatowski, głównodowodzący siłą zbrojną polską, lakoniczny bilet od arcyksięcia Ferdynanda d'Este z zawiadomieniem o rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich. Niepokój zapanował w stolicy. Jeszcze dnia wczorajszego w „kafehauzach” i salonach warszawskich rozprawiano zgoła o czem innym. Odbył się wspaniały pogrzeb ministra skarbu, Tadeusza Dembowskiego; w teatrze dawano nową operę i balet p. t. „Polacy w Hiszpanii”. Niekiedy mówiono wprawdzie i o wojnie, świeżej właśnie dylokacji niektórych pułków, oraz o nadspodziewanie rychłym, zaraz po zakończeniu sejmiku, wyjeździe Fryderyka Augusta, podobno poufnie



Pomnik pod Raszynem.

ostrzeżonego przez Austriaków o blizkiem ich wkroczeniu do Księstwa, nikt jednak nie przypuszczał, aby wybuch tak prędko miał nastąpić.

Wątpił w to narazie i wódz naczelny, książę Józef Poniatowski. Nie znaczy to bynajmniej, by zaniedbał przygotowań wojennych. Jakby wiedziony przecuciem, powstrzymał w ostatniej chwili wymarsz artylerii saskiej, konsystującej w Księstwie. Teraz, wobec nieoczekiwanego ataku trzydziestotysięcznego z górą korpusu austriackiego, miał do rozporządzenia świeżą, ledwie zorganizowaną czternastotysięczną armię polską. Brakło mu przytem ufności rodaków. Przypomniano, że był oficerem austriackim i synem generała austriackiego, urodzonego z hrabianki Kinskiej, odmawiano mu kwalifikacji na wodza, wypominając niefortunną obronę szanów Warszawy w 1794 roku i złożenie komendy po kapitulacji Pragi; wyrzucano bezczynne lata hulaszczego życia w Wiedniu i w pruskiej Warszawie. On odpowiedział na to wszystko, wydając Austriakom, wbrew opinii rezydenta francuskiego, bitwę pod Raszynem 19 kwietnia 1809 r.



Brama tryumfalna w Warszawie na cześć zwycięskiej armii w 1809 r. Rys. Zygmunt Vogel.

Przednie strażę armii nieprzyjacielskiej już przed południem dnia tego ciągnęły ku Raszynowi.

Pierwsze starcie nastąpiło pod wsią Nadarzynem; odznaczył się tu świetną szarżą drugi pułk ułanów. Tymczasem zbliżała się piechota austriacka. Jazda Roźnieckiego usunęła się poza Raszyn, o tysiąc sążni za główną pozycją. Zaczynała się bitwa od pierwszej chwili gwałtowna, namiętna. Austriacy, nie czekając na przybycie głównego korpusu, wszczęli atak na pobliską wioskę Falenty. Generał Sokolnicki, który dowodził naszą przednią strażą, przyjął bitwę, nie bacząc na nierówność sił i niedogodność stanowiska. Była godzina druga po południu. Poniatowski, usłyszawszy odgłos strzałów w chwili, gdy na wzgórzu koło kościoła rasyńskiego przyjmował przybyłych do obozu organizatorów powstań w województwach, niezwłocznie pośpieszył na plac boju, ku grobli, którą między stawem a mokradłami szła droga z Raszyna do Falent. Wrzała tu zaciepła walka. Pierwszy batalion ósmego pułku, pod dowództwem Cypryana Godebskiego, chwiał się.

Wtedy książę Józef, wzięwszy karabin od szeregowca, poprowadził osobiście do ataku pierwszy batalion pierwszego pułku piechoty i odzyskał lasek olszowy pod Falentami. Wkrótce jednak Austriacy, wzmocnieni nowymi posiłkami, wyparli pułk ósmy ze stanowiska. Mimo niezwyklej waleczności artyleria polska nie mogła długo wytrzymać ognia armat nieprzyjacielskich. Pociski austriackie zapaliły wieś Falenty, piechota zdobyła powtórnie lasek olszowy, a wkrótce potem i wioskę. Poległ wtedy dzielny pułkownik-legionista i poeta Godebski; ranny był generał Fiszer, szef sztabu głównego.

Zagrożona ze wszystkich stron, przednia straż polska musiała się cofnąć do Raszyna pod straszliwym ogniem dział nieprzyjacielskich. Była godzina piąta popołudniu. Nieprzyjaciel, ośmielony tem pierwszym powodzeniem, postanowił uderzyć na Raszyn. Przeszedł groblę i opanował część wsi, lecz dalej posunąć się nie mógł. Około siódmej wieczorem podwoiły się wysiłki przeciw centrum armii polskiej. Jedna kolumna ruszyła przez Raszyn, druga usiłowała przebyć bagno, leżące z lewej strony wioski. Ks. Józef kazał wówczas ustawić baterię z szesnastu dział i, zsiadłszy z konia, osobiście zagrzewał do walki. Morderczy ogień kartaczowy zmusił piechotę austriacką do odwrotu.

Granaty polskie zapaliły Raszyn, a rozsypana w tyralierkę piechota, dzięki niezwyklej waleczności, utrzymała się na powierzonym jej stanowisku. Tymczasem zapadła noc wiosenna. Ogień już gasł. Była dziewiąta, kiedy uciły ostatnie strzały. Austriacy cofnęli się poza Raszyn, poprzestając na zajęciu grobli i lasu, położonego za wioską.

Oprócz Falent Polacy nie



ŚMIERĆ CYPRYANA GODEBSKIEGO POD RASZYNEM
Ze zbiorów muzealnych T. Z. S. P.

JANUARY SUCHODOLSKI

utracili ani jednej piędzi ziemi i utrzymali się na polu bitwy.

Straty wojska polskiego wynosiły 450 zabitych, 900 raniomych i 40 wziętych do niewoli; straty Austryaków dochodziły do 2,500 ludzi. Mając na względzie ogromną mniejszość sił polskich, bitwę raszyńską zaliczyć można do najchlubniejszych w naszych dziejach; waleczność Polaków tem bardziej jest przytem godna podziwu, że armia Ferdynanda składała się z wypróbowanych w bojach weteranów, a wojsko Poniatowskiego—w znacznej części z rekrutów, po raz pierwszy będących w ogniu. Bitwa raszyńska dowodnie stwierdziła męstwo polskiego żołnierza, który w dniu tym okazał się godnym „piastować honor narodu”. I prócz honoru ocalono byt Księstwa Warszawskiego. Niemała w tem wszystkim zasługa Poniatowskiego. Trwając niezachwianie na stanowisku, z pełną wiarą w słuszność sprawy, której własną piersią bronił, nie zбочzył on nigdy, w chwilach największego niebezpieczeństwa, z drogi honoru i obowiązku, nie zachwiał się ani upadł pod hańbiącymi zarzutami zdrady, których mu nie szczędzono po zajęciu Warszawy przez Austryaków.

Świetną ofensywą do Galicji i odzyskaniem jej części dla Księstwa zasłużył sobie ks. Józef na wdzięczną pamięć rodaków. „Rzuciła się też ku niemu odtąd—że zacytujemy tu piękne słowa historyka—doraźnym porywem miłość narodowa, otoczyła go tchnieniem tak gorącym, blaskiem tak widnym, jaki zapala się tylko zrzadka w czuciu zbiorowem i tylko po to, aby nie ochło-

nąć, ani nie pogasnąć nigdy, aby grać i świecić po wszystkie czasy w niezniszczalnej tradycji narodowej”.

W liczbie naszych rocznic narodowych Raszyn jaśnieć będzie nie tylko sławą orężną; w tem drogiem dla serc polskich wspomnieniu naczelne miejsce zajmie nieśmiertelna wiara w przyszłość ludu, który w przełomowych chwilach ciężkich prób i doświadczeń zawsze umiał okazać przed światem, że „godzien jest być narodem”.

POETA-LEGIONISTA

CYPRYAN GODEBSKI W SETNĄ ROCZNICĘ ZGONU.

Był z rodu tych, co smutnemi oczami patrzyli na ostatnie drgawki śmiertelne konającej Rzeczypospolitej, co dzielili pierwsze wysiłki rozpaczne narodu, ku przywróceniu bytu politycznego, ku odzyskaniu honoru skierowane. Był z rodu tych, co chwałę oręża polskiego po wszystkich lądach świata roznieśli, co zdeptali skrwawionemi stopami skwarne piaski Egiptu i lodowce alpejskie, rozkoszą tchnące krainy auzońskie i iberyjskie i niegospinne puszcze San-Domingo. Był z rodu tych, którym „Bóg powierzył honor Polaków”—i Bogu go, nie skalany żadną plamą trwogi ni rozpacz, oddali, krwią swą serdeczną przypieczętowawszy na polu walki i zgonu wierność sztandarom ojczystym i rycerskiemu powołaniu.

Urodzony w r. 1765 na Polesiu wołyńskim, już od wczesnej młodości stanął w szeregu wiernych synów ojczyzny, biorąc udział w przygotowaniach do insurekcji kościusz-

kowskiej. Ale właściwa era jego wystąpienia na arenę publiczną przypada na dobę formowania się legionów polskich we Włoszech. Jeszcze bawiąc na Wołyniu, zajmował się gorliwie propagandą, rozpowszechniając proklamacje Dąbrowskiego.

Uszedłszy zagranicę, pod groźbą utraty wolności lub życia, wstępuje w szeregi legionistów, jako adjutant generała Rymkiewicza. Pod Weroną rangę porucznika okupuje raną śmiertelną. Leczy się w szpitalu w Mantui, podczas słynnego oblężenia tej twierdzy przez Austryaków, a po jej zdobyciu, jako inwalida, odbywa ciężką drogę do Paryża.

Ale nie ustaje, pomimo to, w krwawym trudzie żołnierskim. Wkrótce znowu staje do apelu, w randze kapitana wstępuje do legii naddunajskiej pod rozkazami Kniaziewicza. Offenbach, Hochstädt, Philipsberg, Hohenlinden, Wasserburg, Jun, Lajbach—oto widownie jego męstwa i chwały.

Wreszcie, okryty ranami, powraca do kraju...

Tyle czynów Godebskiego-legionisty.

A poeta? Tutaj—staje on w rzędzie tych, co walczyli i składali rymy pod rytm mazurka Dąbrowskiego, co śladem autora tych zwrotek tak prostych, a nieśmiertelnych, jak dusza narodu, Józefa Wybickiego, w ziemi włoskiej tęsknili do Polski, marząc o tem, by „złączyć się z narodem”, i te marzenia i te tęsknoty wylewały na papier. Współ z kapitanem Paszkowskim, układa nasz poeta-żołnierz słynną *Dekadę legionową*, gazetę rękopiśmienną, którą czytano wojsku przy rozkazach dziennych, a w niej zamieszcza przekłady wyjątków i dzieł treści wojskowej, wiadomości polityczne i utwory literackie, służące ku pobudzeniu ducha żołnierskiego.

Niekunsztowna to była ta poezja legioni-

stów, oraz uczestników późniejszych walk, tryumfów i klęsk napoleońskich, owych Tymowskich, Goreckich, Reklewskich, Brodzińskich. Nie miał czasu wygładzać wierszy ten, kogo trąba wzywała do boju, kto układał je na biwaku przy ognisku obozowym, na bębnie, wśród gwaru żołnierskiego, w przeddzień boju. Ale w dziejach naszej literatury zajmuje ta poezja legionowa ważne, poczesne stanowisko, słusznie uważana za zwiastunkę mającego nadejść romantyzmu. W tych wierszach bowiem rozbrzmiewają też hasła ludowości i patriotyzmu, które głosić będzie wkrótce ten, co wyszedł z legionów, Kazimierz Brodziński, w swych rozprawach krytycznych, w swym „Wiesławie”, w swych „Pieśniach rolników”. A „Kazimierz z Królówki” to wszak Jan Chrzyciel Mesyasa wielkiej naszej poezji romantycznej, Mickiewicza...

Nie przekład wówczas właśnie odkrytej „Wyprawy Igora na Połowców”, dokonany z tłumaczenia francuskiego, i nie „Listy o wsi”, parafraza „Bukolik” Wergiliusza i „Ziemianina” Delille'a, i nie zręczna zresztą i sympatyczna powiastka na tle własnej podróży autora z Mantui do Paryża w r. 1799, p. t. „Grenadyer-filozof”, z dobrze postawioną postacią żołnierza francuskiego, który, patrząc na szlachetność oficerów polskich, nieczułość i nieludzkość odmienia na najwznioślejszą wspaniałomyślność, i nie drobne wiersze wreszcie zapewniły Godebskiemu pamięć w narodzie.

Dokonał tego jeden jedyny wiersz, wiersz, który zamyka w sobie, jak w urnie, wszystkie smutki i rozpaczę tych, co przeżyli Ojczyznę, który zawiera, jak w pączku, wszystkie nadzieje i pociechy tych, co wierzyli w lepszą przyszłość i rozpaczają nie chcieli.

Ten utwór—to „Wiersz do legiów polskich” z r. 1805, napisany w przeddzień powołania do życia nowego organizmu politycznego, który wszechwładnej woli Cezara podobało się wykroić z rozległych dziedzin dawnej Rzeczypospolitej i nazwać Księstwem Warszawskim. Treść w nim też sama, jak w „koncercie nad koncertami” Jankiela mickiewiczowskiego, chociaż forma artystyczna nierównie niższa. Szata wiersza klasyczna, nie obeszło się bez przykras mitologicznych, bez „złotego wozu Feba”, Marsa, Kocytu i „Trójzębów”, ale duch stąd wieje młody, a tym duchem—pełnia uczucia, gorejącego wielkim płomieniem i nie przystonionego dymem gorących frazesów...

Ten duch poprowadził autora „Wiersza do legiów polskich” znowu na pole walki. W roku 1806 zostaje on komendantem twierdzy Modlin, a w r. 1809, ceniony i uznany poeta, od lat czterech członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ku wielkiej swej radości pośpiesza w bój w randze pułkownika.

Dnia 19 kwietnia walczy pod Raszynem na czele dwóch batalionów 1-go pułku piechoty, wstawionego męstwem w licznych bitwach. Koń pod nim pada. Przesiada się spokojnie na drugiego i rzuca w ogień. Wtem otrzymuje postrzał w nogę, ale placu boju nie opuszcza...

Druga kula ugadza go w piersi i powala na ziemię. Wierni żołnierze zanoszą go na płaszczu w miejsce bezpieczne, zastaniając własnymi pierściami. Nie zastanili!... Trzecia kula trafia go w lewe udo, wywołując bolesny okrzyk umierającego: „Więc i ty mnie także nie mijasz!”...

Te były ostatnie jego wyrazy. W godzinę potem już nie żył...



CYPRIAN GODEBSKI.

Tak zginął bohater. Ale duch jego ożył. I spełniło się autor „Grenadyera-filozofa” prorocтво, w ostatnich wierszach „Wiersza do legiów polskich” zawarte:

Nie! Myśl słodka mnie cieszy, że pamięci córka
Dar nam gotuje w płodzie ojczyznego pióra;
I że z naszych popiołów (przecucia me tuszą)
Powstanie polski Maro z Jasińskiego duszą;
On wasze czyny poda do wiecznej pamięci,
A gasząc moje rymy, wspomni dobre chęci.

I powstał „polski Maro z Jasińskiego duszą”, zeszedł na ziemię polską w ubogim domku komornika mińskiego w Nowogródku, w tym samym 1798 roku, kiedy Godebski odbierał rany we Włoszech. Narodził się ten, co w naszej wielkiej Rzeczypospolitej poetyckiej XIX wieku, w tej erze katakumbowej naszych dziejów miał być *primus inter pares*. Że „zgasił” skromne „rymy” bohatera z pod Raszyna, nie dziwotać to. Bo i kogóż oslepiającym blaskiem swego geniuszu nie zaćmił?... Ale i za to Godebskiemu chwała, że był jednym z tych, co



Grób Cypriana Godebskiego na Powązkach.

torowali ścieżki „nadejść mającemu”, i za to większa jeszcze, że „nie oddzielił się od miłości przepaścią słowa”, ale „wystąpił mężem pośród braci swoich”.

Krew, rozlana pod Raszynem, to najpiękniejszy żołnierza-spiewaka poemat.

HENRYK GALLE.

LUCYAN RYDEL:

Z PRZEKŁADÓW ANAKREONTA.

Z I-ej OLYMPIONIKI: PELOPS I OLYMPIJSKIE IGRZYSKA *).

A kiedy mu zakwitł wiek młody
I osuł puch czarnej jagody,
O stadło szedł gonić w zawody.
Hippodameję, króla Pisatów dziewczynę,
Chciał mieć, bo chwała słynęła dokoła;
Szedł wzdry nocą samotny nad morze, nad sine
I trójzębę Władcę woła,
Co z hukiem odmetry kłębi,
A morski bóg
U jego nóg
W szumnej mu się jawi głębi...
Rzekł doń: „Jeżeli-cie mite są dary Kypridy,
„O Posejdonie,
„Zadzierz ostrze szpizowej Ojnomeja dzidy,
„Spraw, by na Elijskie błonie
„Wóz mnie poniósł chyży,
„Niechaj moc ta, co zwycięża,
„Ku mnie się przybliży;
„Toć trzynaście tam już męża
„Z jego ręki padło,
„Zalotniki zabija i odwłoczy stadło!

„Nie dla tchórza są wielkie, niebezpieczne sprawy,

„Umrzeć mus jest człowieka:
„Któżby zaszył się w kącie i późnego wieku
„Po próżnicy chciał czekać bez sławy,
„Nic chlubnego nie mając w udziale?
„Wyzwanie na ów gon, rzucone w twarz,
„Ja przyjmę śmieie—
„Ty mi zapasów kres pomyślny zdarz!”
Tak rzekł i marnie słowa nie przebrzmiały,
Albowiem bóg wspaniały
Wóz dał mu, kowan złotem,
I skrzydlate rumaki, niedościgłe lotem.

Ojnomaja start się i pojął dziewoję
Wzdy ona synów mu powiła sześci,
Wszelkich zalet niepróżne włodarze i woje...
Ninie on zażywa cześci
W każdej krwawych żertw ofierze;
Gdzie ma swój brzeg
Alfeja bieg,
Tam grobowe jego leże,
Podle ołtarza, który gromadzi narody
Z najdalszej strony...

Więc igrzysk olimpijskich święcą się zawody,
Gdzie odprawiał Pelops gony:
Do walki się garną
W chyżych-li to nóg rozpędzie,
Siłą-li mocarną.
A kto tam zwycięzca będzie,
Ten, póki żywota,
Zazna, że słodsza miodu—czara szczęścia złota!

*) Pelops, syn Tantalosa, króla Sipylosu, wybrał się do Pisy, aby poślubić Hippodameję, córkę Ojnomajosa, który zalotników, ubiegających się o rękę córki, wyzywał na wyścigi wozowe i podstępnie zabijał. Pelops z pomocą bogów prześcignął Ojnomajosa, który spadł z wozu i zabił się. Na tę pamiątkę ustanowiono igrzyska olimpijskie.



W STYCZNIU (Wystawa „Pracowni” w T. Z. S. P.)

KAROL BISKE

BOLESŁAW PRUS:

Proroctwa polityczne.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Mieszka w Warszawie taki pan, który, w końcu roku 1905-go, czyli w epoce najpiękniejszych upojeń konstytucyjno-wolnościowych, opowiadał rzeczy następujące:

„Przegrana wojna sewastopolska dała Rosji pewne ulgi sądowe i administracyjne, a nadewszystko—przyczyniła się do zniesienia pańszczyzny; nie wątpię więc, że i po przegranej wojnie z Japonią Rosya otrzyma jakieś rozszerzenie władzy ziemstw i rad miejskich, trochę większą swobodę prasy, może nawet rodzaj parlamentu ze skromniutkim głosem doradczym... Przypuszczałem, że pewna część tych dobrodziejstw dostanie się i naszemu krajowi... Z czasem, kiedyś, w miarę zadłużania się państwa i konieczności spotęgowania pracy twórczej, mogłyby nastąpić inne swobody, nie przekraczające jednakże tego, co dziś widzimy np. w Prusiech”...

„Gdyby mnie w owej epoce, a nawet później, zapytał kto: co należy robić dla podźwignięcia naszej narodowości? odpowiedziałbym: trzeba korzystać z każdej, choćby najdrobniejszej ulgi i—pracować... pracować... pracować... A gdyby mnie spytano: czy wierzę w możliwość rewolucji w Rosji?... odpowiedziałbym, że na świecie wszystko jest możliwe, więc i rewolucja rosyjska, która jednak bez silnego udziału wojska nie tylko nie stworzy upragnionej wolności, ale wywoła jeszcze gorszą reakcję”.

„Krótko mówiąc, byłem stanowczym przeciwnikiem wszelkich ruchów rewolucyjnych, a przedewszystkiem strajków. W szczególności zaś, gdyby to zależało ode mnie, głosowałbym przeciw jakimkolwiek „nieporządkom” u nas, z obawy, ażeby nasze niepokoje nie skłoniły rządu do ogłoszenia wojny świętej przeciw polskim buntownikom, wojny, która

cały naród mogłaby zjednoczyć z biurokracją przeciw nam, zakończyć się reakcją dla Rosji, a dla nas... chyba wytępieniem...”

Otóż do takiego pana wybrałem się z wizytą i, przypomniawszy mu jego refleksje z czasów arcy-wolnościowych, prosiłem, ażeby raczył mi wypowiedzieć kilka proroctw, osnutych na wypadkach bieżących.

— Szczególniej—mówiłem—niech pan wyprorokuje coś na temat neoslawizmu czy panslawizmu i niech pan powie coś o naszym przyszłym położeniu w Rosji. Bo to teraz, widzi pan, modnie jest wołać: „A czy ty wiesz, co z Polską będzie za lat dwieście?”... które pytanie postawił dyabeł w „Dziadach” księdzu Piotrowi i Konradowi...

— Proszę pana—odrzekł autor wieszczby z roku 1905—przedewszystkiem ja nie jestem wcale prorok, gdyż grubo omyliłem się nawet w owej „przepowiedni”, ciesząc się wraz z innymi, że: „Patryotyczna Rosya nie tylko nie wypowiedziała nam wojny eksterminacyjnej, ale jeszcze ujęła się za nami i w szeregu swoich zasadniczych wymagań zapisała autonomię Królestwa Polskiego!” Słusznie przewidując możliwą reakcję, źle oceniałem nasz stosunek do rosyjskiego ogółu.

— Prawda—wtrąciłem—ale zarazem wołał pan do młodzieży: „Młodości! wdzieraj się na wyżyny”,—„łam, czego rozum nie złamie”—„duś Ceautury”—„do niebios sięgaj po laury!”... Ale jednocześnie: „szanuj oko i szkiełko mędrców”, jak najczęściej postępuję się „cyrklem, wagą i miarą”, a nadewszystko, zanim „poruszysz z posad ziemię”, jak najstaranniej zbadaj nie tylko swoje „siły w stosunku do zamiarów”, ale i swoje środki wykonawcze i okoliczności, współczesne swoim działaniom...

W rezultacie—mówiłem dalej—mnie nie chodzi o pańską nieomylność, lecz o pańskie zdanie w dwu kwestiach aktualnych: co będzie z wszechsłowianizmem? i jaka przyszłość czeka nas wobec Rosji?

Niedoszły prorok wzruszył ramionami i zajął ode mnie pytań bardziej określonych.

— Czy pan wie—rzekłem—co się teraz wypisuje w gazetach południowo-słowiańskich, które kilka miesięcy temu wyciągały obie ręce do Rosji?... Oto co: „W Austrii Słowianie zażywają stosunkowo najwięcej swobody i posiadają najpomyślniejsze warunki rozwoju narodowego”... „W Austrii, mimo przewagi Niemców w szkole i urzędzie, oddychamy swobodniej i wchłaniamy w siebie kulturę europejską. Przyszłość Słowiańszczyzny nie leży w Rosji, gdzie biurokracja uśmierca kulturę, ani na Bałkanach, lecz w Austrii. Austria jest Piemontem słowiańskim”... Czy sądzi pan, że takie głosy przeciw Rosji, a jest ich coraz więcej, nie przyczynią się do rozdarcia Słowian, zamiast związania ich w jedną, zgodną rodzinę?... A wszystko dzięki temu, że Rosya po dawnemu nęka nas, Polaków, i że świeżo opuściła Serbię...

— A cóż pan chciał—odezwał się quasi-prorok—ażeby Rosya, państwo 150-milionowe, ryzykowała swoje interesy, a może i swój byt, dla zrobienia państwa pięciomilionowego z trzymilionowej Serbii?...

— Ależ Rosya obiecywała Serbii poparcie!...

— Niechże pan nie wierzy tym bredniom!—rzekł prorok.—Rosya mogła obiecywać Serbii poparcie moralne, no i tego udzielała jej. Realnie zaś kwestya przyłączenia Bośni do Austrii była rozstrzygnięta od świętej pamięci, zaraz po kongresie berlińskim, i jeszcze później, i bodaj że po kilka razy. Czy jest na świecie człowiek, który dlatego, aby ktoś inny został bogatszym, zechce narażać swój własny majątek, zdrowie i życie? Takie państwo, jak Serbia, które przecież prowadzi własną politykę, powinno było to rozumieć; a jeżeli nie rozumiało, że każdy dba najpierwej o własne interesy, niechże nie ma pretensyi, że się zawiodło.

— A więc z neoslawizmu nic?—pytam.

— Owszem—odparł prorok—może być



„ROMANTYCZNOŚĆ” BALLADA A. MICKIEWICZA. (Wystawa „Pracowni” w T. Z. S. P.)

KONSTANTY GORSKI

„Tyżeś to w nocy? to ty, Jasieńku!
Ach! i po śmierci kocha!
Tutaj, tutaj, pomaleńku!
Czasem usłyszysz macocha!...

Ty już umarłeś? Ach ja się boję!
Czego się boję mego Jasieńka?
Ach! to on! lica twoje! oczki twoje!
Twoja biała sukienka!

„I sam ty biały, jak chusta,
Zimny—jakie zimne dłonie!
Tutaj połóż, tu, na łonie,—
Przyciśnij mnie—do ust usta!

„Ach, jak tam zimno musi być w grobie!
Umarłeś! tak, dwa lata!
Weź mię, ja umrę przy tobie,—
Nie lubię świata!”

nawet dwa neoslawizmy: jeden rosyjski, drugi austriacki. A zwycięży—silniejszy.

— Więc Słowianie zachodni i południowi już na wieki odwrócą się od Rosyi?

— Owszem, mogą znowu odwrócić się do Rosyi pod trzema warunkami: 1-mo gdyby Austria pod wpływem Niemców zaczęła przyduszać swoich Słowian, co nie należy do zjawisk niemożliwych, 2-do jeżeli Rosya wewnętrznie i zewnętrznie wzmocni się tak, że zaczną się jej bać Austriacy, a nawet Niemcy, i 3-io, jeżeli Rosya każdemu narodowi słowiańskiemu zapewni autonomię. Wówczas naprawdę może się utworzyć jedna rodzina słowiańska, do której dziś jest cokolwiek za daleko.

— No, a tymczasem?...

— A tymczasem—odpowiedział prorok—zapamiętajmy sobie słowa pewnego oryginała angielskiego, nazwiskiem Wiliam Sted, który, spostrzegłszy ze statystyki, iż w Europie najszybciej mnożą się Słowianie, woła w ich imieniu: „przyszłość należy do nas!” i zaleca im: „jedność i cierpliwość”... Otóż i my, Polacy, jednoczmy się między sobą, mnożmy się i—bądźmy cierpliwi, a przyszłość znajdzie się w naszych rękach.

— Nawet za dwieście lat?... pomimo mickiewiczowskiego aforyzmu: „A czy ty wiesz, co z Polską będzie za lat dwieście?”...

— Proszę pana—mówił prorok—tego rodzaju pytanie stawiać można każdemu państwu i narodowi, poczynawszy od Anglii, Afganistanu, Belgii i t. d., kończąc na Urugwaju, Wenezueli i Zanzibarze. A czy ty wiesz, co z Francją, a czy ty wiesz, co z Rosją będzie za lat dwieście?... Każdy będzie miał to, co sobie wypracuje energią, mądrością i szlachetnymi uczuciami, i żaden nie będzie miał tego, czego sobie nie wyrobi...

— A z Chełmszczyzną jakże pan myśli?...

— spytałem, wszelako miarkując, że kandydat na proroka nie wypowiada tak znowu strasznie cudownych rzeczy. Każdy mógłby prorokować to samo, i nawet z piękniejszym „gestem”...

— Chełmszczyznę, jeżeli rząd naprawdę zechce oddzielić od Królestwa, to ją oddzieli, może w celu „odpolszczenia” i „odkatoliczenia” tamtejszej ludności, a może—dla przypomnienia Europie, że traktat wiedeński nie istnieje, co wreszcie powinnyby podobać się Prusom...

— No, a potem co?...—zapytałem.

— Rosya ma wielką misję: ona pomaga rodzeniu się nowej narodowości małoruskiej, czy ukraińskiej, przeciw czemu my—nic mieć nie możemy.

— Przypuszcza pan, że utworzy się narodowość ukraińska?

— Jestem tego pewien, tem bardziej, że ona już istnieje i tymczasem skacze do gardła tylko nam, Polakom. Przypuszczam zaś więcej, mianowicie, że w miarę gęstnienia ludności, wśród samychże Wielkorosyan powstaną dość znaczne różnice; tak—że Wielkorosyanin kazański, astrachański, odeski, archangielski i t. p. będzie cokolwiek inny, aniżeli Wielkorosyanin moskiewski albo petersburski.

— No więc co?... więc myślisz pan, że państwo rozpadnie się?...

— Bynajmniej!... Ono może jeszcze mocniej spoić się, aniżeli dziś, ale musi się zdecentralizować...

— A cóż się stanie z dzisiejszym patriotyzmem „Prawdziwych Rosyan”?

— Na to odpowiem słowami już nawet nie europejskich postępowców i miłośników wolności, ale słowami hinduskiego myśliciela Rajahmandri, ogłoszonymi przez zawsze czujny *Kurier Polski*:

„Prawdziwy patriotyzm—to miłość ojczyzny; fałszywy patriotyzm to uczucie, które popycha do mnożenia dobrobytu i szczęścia jednego narodu z krzywdą dla drugiego. Prawdziwemu patriotyzmowi obca jest potworna i haniebna dewiza Anglików: „prawnie czy nieprawnie, to jest mój kraj”. Prawdziwy patriota nigdy nie poświęci ogólnie ludzkich idei na ołtarzu samolubstwa narodowego. Nigdy nie mówi: wolność dla mego kraju, niewola dla innych. Przeciwnie, on woła do wszystkich ludów: światło i wolność dla każdego i dla wszystkich na ziemi!

„Pycha narodowa, tamująca przyjaźń i porozumienie się z innymi ludami, to resztki barbarzyństwa; despotyzm, skazujący obcy naród na poniżenie i wieczną niewolę, to nie patriotyzm, to gwałt. Ludzkość kroczy wciąż naprzód; ludy, które dziś są poniżone, będą wywyższone; te zaś, które się wywyższają, będą poniżone w przyszłości.

„Fałszywi patrioci Wschodu i Zachodu, azali nie wiecie, iż, jak jest jeden Duch Wszechświata, tak jedno prawo miłości i prawo życia na całej ziemi? Czyż wszystkie rasy i narody nie są równymi spadkobiercami zielonej ziemi pod niebem słonecznym? Czy postęp jednego narodu nie pomaga do postępu całego rodzaju ludzkiego? Czy upadek jednego narodu nie osłabi wlotu całej ludzkości? Czy jakakolwiek rasa lub naród, choćby najniżej upadły, nie mają prawa do postępu?”...

Jeżeli nawet w letargicznych Indjach rozlegają się takie głosy, to musimy uznać, że sprawa wolności ludów znajduje się nie na najgorszej drodze. A więc niema powodu desperować nawet z racyi awantury chełmskiej, ani pytać lęklawie: „A czy ty wiesz ty, co z Polską będzie za lat dwieście?”... Będzie to, co ona sama ze sobą zrobi.

PROFILE LITERACKIE.

BRONISŁAW CHLEBOWSKI

JAKO KRYTYK LITERACKI.

„Słabnący dziś bardzo wpływ zarówno literatury wieku XVI, jak i wielkiej poezji wieku XIX, podnieść, umocnić może jedynie krytyka literacka przez nowe, lepsze oświetlenie najlepszych dzieł, wyszukanie i wskazanie mało uwydatnionych piękności, rozjaśnienie cech duszy twórcy, utrwalonych w jego dziele”. Wzmagającym, ale i zmieniającym się potrzebom i upodobaniom dusz stara się przynieść pomoc krytyk, poddając rewizji przekazane przez przeszłość sądy i oceny, usiłując z pomocą nowych metod badania, nowych subtelniejszych odczuć i obserwacji sprawdzić dawniejsze wartości, odszukać nowe”...

Oto treść pracy życiowej Bronisława Chlebowskiego.

Szerokiej publiczności krytyk ten mało dotąd znany; nie zasiadł na kurulskim krześle cenzora urzędowego, bo nie bierze udziału w ocenie najnowszej beletrystyki, nie rzucił kamieniem na „Dzieje grzechu”, ani wmiawił w czytelników swego widzi mi się na symbole i zagadki „Wesela” czy „Wyzwolenia”. Najnowszą literaturę krytyczną: od Tarnowskiego do Feldmana, Brzozowskiego, Lorentowicza, śledzi za to uważnie, wystawia jej braki, niekonsekwencje, uprzedzenia, wnika w jej idee i tendencje.

Tem bardziej cenią go znawcy. Zarzucają mu tylko, że nie zebrał dotąd studyów i szkiców, rozproszonych po rocznikach dawnego *Ateneum* i innych czasopism, że nie ułatwił postronnym przystępu do skarbcza swej myśli i wiedzy.

Całości większej dotąd nie stworzył. Lata pracy żmudnej, niewdzięcznej pochłonał mu „Słownik geograficzny”, dzieło wartości pomnikowej dla historyka-specjalisty. Dopiero gdy się z pod tego jarzma uwolnił, zaczął płodniejszą pracę literacką na nowo.

Gdyby skupić wszelkie jego artykuły, przedmowy, wstępy, mozaika taka odtworzyłaby główne kształty dawniejszej literatury, od Reja, Kochanowskiego i kancynałów protestanckich aż po wieszczów XIX wieku. Lecz nie sposób wyliczać choćby ważniejszych tylko pozycji w tym dorobku historyczno-krytycznym.

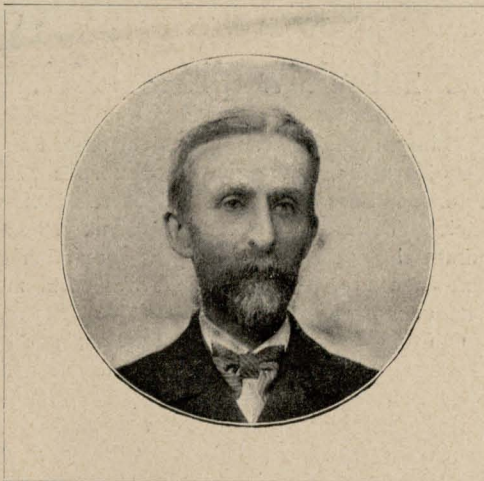
Nadzwyczajna bystrość i ścisłość sądu; zdolność wczuwania się i wmyślenia w dzieła najrozmaitsze; wielka kultura duchowa, osadzona na głębokiem, u nas, niestety, coraz rzadszem znawstwie i umiłowaniu literatury klasycznych; forma staranna, łącząca świetność pomysłu z wysłowieniem wytwornem, urozmaiconem nieraz satyrycznymi przebłyskami; silna wrażliwość na żywioły narodowe, tendencja patryotyczna, wolna jednak od wszelkiego szowinizmu—cehują każdy występ oświeconego, wyrozumiałego krytyka-literata. Pokusie śmiałych przypuszczeń, budowania hipotez, daleko sięgających, ryzykownych, nawet tam, gdzie źródła skąpego dostarczają światła, nigdy się nie opierał.

Poza koła fachowe wystąpił niedawno z charakterystykami wielkiej naszej poezji XIX wieku, tak bogatymi w treść, mimo największej oszczędności słowa, tak subtelni i pięknymi zarazem, że należy je wręcz jako wzór estetyki popularnej wystawić: mianowicie dał w zbiorowej pracy „*Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej*”, w trzecim i w najświeższym,

czwartym jej tomie zarysy biograficzno-literackie Mickiewicza i Słowackiego.

W roku jubileuszowym, gdy powołani i niepowołani wielkiemu imieniu w zawody hołdują, przyczynek Chlebowskiego zaważy może najsilniej. W walce o Słowackiego wystąpił przeciw pomniejszycielom artysty i człowieka, ale równie dalekim okazał się od wszelkich bezkrytycznych, nieraz robionych zachwytów. Istotę twórczości i zdolności poety uchwycił szczęśliwie i, jak za nicią Aryadny, zapuszcza się w tajniki potężnego ducha.

Wyświetla nienormalność jego rozwoju, przewagę wyłączną wyobraźni i rojenia-nastroju, jednostronne lubowanie się w silnych kontrastach i jaskrawych nadzwyczajnościach; usuwa wszelkie wmiawiane w poetę zamiary i idee, od pierwszych poematów i dramatów



BRONISŁAW CHLEBOWSKI.

aż do „Ojca Zadżumionych”: o symbolu czy alegorii i tu nie może być mowy; poetę pobudziły wyjątkowość sytuacji (ojca, tracącego kolejno rodzinę) i groza potęgi niszczycielskiej gniewnego Allaha.

Równie trafnie ocenia krytyk dalsze, doskonalsze utwory; widzimy naocznie wznoszenie się poety na coraz wyższe stopnie artyzmu, przerwane niby tak zwaną transfiguracją, pod wpływem Towiańszczyzny. Ale słusznie dowodzi krytyk, że właściwie przełomu nie było żadnego, że jest to tylko wchłanianie, przyswajanie w dalszym ciągu nowych pierwiastków, dążące w końcu do ostatniej, najwyższej formy artyzmu w „Królu Duchu”.

Trafnych, przekonywujących wywodów krytyka o znaczeniu i doniosłości, nawet o czasie napisania dzieł poszczególnych wyliczać nie będziemy; zwracamy tylko uwagę na bystre uchwycenie przeciwieństwa i polemik, choćby ukrytych, z Krasińskim, głównie z *Przedświtem*, przeciągających się przez twórczość Słowackiego między r. 1841 a 1845, tu po raz pierwszy silnie uwydatnionych.

Uwagi o „Królu Duchu” i fragmentarycznych tegoż pięknościach, porównanie z Mickiewiczem, nawiązanie z symboliczno-nastrojową poezją modernistów świadczą wymownie o przenikliwości krytyka. Tylko mistycznego poglądu poety na świat nie przedstawiał dokładniej ani jego metempsychozy, nauki, liczącej tak dobrze z kobieco-bierną duszą poety, podtaczającej wszelką energię; wie coś o tem garstka Anglików, panująca spokojnie nad milionami Indów, wyznawców tej nauki.

Całość przedstawia się, jako najsprawiedliwsza, najbezsronniejsza apologia poety; i Słowackiego-człowieka ukazano nam w sympatycznym świetle. Szkic o Słowackim, zarówno jak o Mickiewicz, to istotne syntezy

naszej wiedzy o wieszczach, gardzące frazesami, a obfitujące w szczegóły, nawet biograficzne, godne, by się dostały do ręki każdego czytelnika, bo wypełniają znakomicie to zadanie, jakie własnymi krytyka słowami we wstępie określiliśmy.

A. BRÜCKNER.

APATYA.

Pod adresem społeczeństwa padają coraz częściej oskarżenia o zubożenie, apatyę, opuszczenie rąk, brak woli, gnuśność i lekkomyślność. Oskarżenia te są słuszne o tyle, że istotnie życie nasze staje się coraz bardziej podobne do rzeki, zatrzymanej w swoim biegu i tworzącej szeroko rozlane zatoki, porośnięte rzesą i szuwarami. Jest źle. Takiego przygnębienia, jakie panuje obecnie, jak zapewniają ludzie starsi, nie było nawet po r. 1863, wówczas bowiem, po rozwianiu się wszelkich nadziei i złudzeń, została jeszcze przynajmniej cześć dla bohaterskiego porywu, została hołd jawny lub tajony dla ofiar, została tradycja, w której rosło i dojrzewało pokolenie następne. Dziś tego wszystkiego niema, i dlatego należy się niewątpliwie bardzo poważnie liczyć z objawami tego zniechęcenia, jakie powoli ogarnia wszystkich i złowróbną chmurą rozciąga się na horyzoncie naszej przyszłości najbliższej.

Ale, wnikając głębiej w istotę tego zjawiska, nie powinniśmy zbyt poddawać się pesymizmowi.

Zdolność do czynu, do pracy, do wysiłków zostaje w ścisłej zależności od zapasów energii i zdrowia wewnętrznego, jakie posiada dana jednostka ludzka, lub dana zbiorowość. W stosunkach zaś, w jakich istnieje nasze społeczeństwo, nie może być mowy ani o zachowaniu zdrowia, ani o gromadzeniu zapasów energii, i dlatego przypominamy raczej człowieka chorego, który marzy o wysiłkach fizycznych, bo zdobyć się na nie w danym momencie nie może.

Gdyby warunki naszego istnienia w czterdziestolecu ubiegłym były inne, byłibyśmy z pewnością doszli do takiego zapasu energii, że w zetknięciu z wypadkami lat ostatnich nie byłaby się ona wyczerpała doszczętnie. Tymczasem było inaczej. Siły nasze traciłyśmy na bierny opór, który trwać musiał przez lata całe, i oto w chwili, gdy nadszedł okres inny, gdy otworzyły się przed nami perspektywy pomyślniejsze, zaledwie wystarczyło nam ich na chwilowy zapal, który minął wraz z ukazaniem się pierwszych przeszkód. Zawody i niepowodzenia, klęski i ciosy, jakie spadły na nas w następstwie, wyczerpały resztę naszej energii, i oto w danej chwili pozostało nam już niewiele więcej ponad tęsknotę do czynu.

Ze wszystkich stron, ze wszystkich pól pracy społecznej płyną obecnie narzekania na brak ludzi, do pracy chętnych, na słabnące zainteresowanie się sprawami publicznymi, na lenistwo ducha i myśli, na brak inicjatywy i tej prostej nawet przezorności, która nie pozwala zaniedbywać się w pełnieniu obowiązków, świadoma tego, że za każde zaniedbanie płaci się stratą kilkakrotnie większą.

Jednocześnie wzrasta w społeczeństwie lekkomyślność, chęć do szukania zabaw i niewybrednych rozrywek, pogoń za coraz ostrzejszymi bodźcami do życia, za coraz bardziej trującymi podniektami, co w rezultacie przyczynia się do jeszcze większego wyczerpania, do jeszcze większego znużenia duszy współczesnej, nie umiejącej zdobyć się na żadną wiarę, ani wykrzesać z siebie żadnej idei.

Gdybyśmy powiedzieli sobie, że stan taki będzie trwał dłużej, nie pozostawałoby nic innego, jak podpisać odrazu wyrok zagłady na całe pokolenie dzisiejsze. Doświadczenie jednak uczy, że to właśnie pokolenie złożone jest z ludzi nerwowych, przeculonych, słabych, i w skutek tego ulegających zbyt łatwo przejściowym depresjom, po których następują znów okresy wzmożenia się energii, a co za tem idzie, i zdolności do czynu. z. p.

SATYRA POLITYCZNA.*)

Ostrze satyry politycznej zwracało się już niejednokrotnie przeciw socjalizmowi. Do najpopularniejszych wydawnictw tego typu należy, między innymi, słynna broszura pośta i publicysty niemieckiego, Eugeniusza Richtera, o której powiedziano, że więcej zaszkodziła



Arnold Schifman.

rozwojowi socjalizmu w Niemczech, niż wszystkie ustawy wyjątkowe ks. Bismarcka.

W tym samym duchu napisana jest powieść Teodora Jeske-Choińskiego, p. t.: „Po czerwonym zwycię-

stwie”. Obie te książki biją taranem satyry w utopijne „państwo przyszłości”.

Fantazje proroków socjalizmu w stylu Augusta Bebla tracą w tem oświeceniu cały swój urok rajskiego widziadła i zamieniają się w sztuczne lepianki, które w pierwszym zetknięciu się z rzeczywistością walą się w gruzy. Wśród śmiechu trzeźwych i logicznie myślących satyryków, ukazujących machinę wymarzonego państwa w ruchu społecznym i ekonomicznym, na miejscu raju socjalistycznego ukazuje się śmieszny, niezdolny do życia, niebezpieczny dla szczęścia ludzkiego dziwołag.

Nieco inny ma charakter powieść Arnolda Schifmana: „Pankracy August I”. Utwór ten, napisany pierwotnie w formie komedycznej i później dopiero ujęty w ramy powieściowe, drwi raczej z socjalistów, niż z socjalizmu, raczej z nieśmiertelnych ułomności i śmieszności gatunku „homo sapiens” w socjalistycznej oprawie, niż z praktycznych konsekwencji doktryny „czerwonej”. Bohaterem „Pankracego” jest ambitny piwowar, wyniesiony przez rewolucję zwycięską na stanowisko dyktatora czy prezydenta republiki socjalistycznej. W szeregu dowcipnie pomyślanych i satyrycznie uśmiechniętych dyalogów tańczy przed nami tragifarsa „rządów rewolucyjnych”, które z czasem stają się przedziwnie podobne do rządów „ancien régime’u”. Bohater wolności zaczyna się nie tylko przekonywać, że wielkie hasła negacyi socjalistycznej: „Bez wojska! Bez małżeństw! Bez panowania jednych nad drugimi!” są niewykonalne, ale, o władnięty szale „królowania”, naśladuje niewolniczo tych samych „kacyków na tronie”, których tak niedawno jeszcze piętnował, jako symbole feudalnego barbarzyństwa, i ścigał na czele wojsk rewolucyjnych.

Szyderstwo autora, które w pierwszych rozdziałach powieści sięgało nieco głębiej w mechanikę życia zbiorowego, zamienia się niebawem w pamflet wesoły przeciw „królowi socjalistów”, który, włożywszy na swój łeb piwowarski koronę, rozkochał się w paradzie Wilhelma II, obmyśla nowe mundury dla wojska, fotografuje się i portretuje w niezliczonych pozach, wietrzy wszędzie spiskowców, a w końcu z niesłychaną pompą przyjmuje w podwojach zamkowych króla macedońskiego.

Ale satyra Schifmana nie zgrzyta cynicznie, nie kąsa z pianą na ustach, nie policzkuje brutalnie. Uśmiecha się bardzo pogodnie, drwi pobłażliwie i raczej bawi się swoją ofiarą, niż pluje jej w oczy. Wszystko kąpie się tam w blaskach łagodnego humoru. Na zakończenie widowiska mógłby autor poklepać króla po ramieniu i rzec poufale: „No! stary, bez gniewu! Chodźmy teraz na piwo do twojego własnego browaru”.

I kto wie, czy Pankracy August I nie zgodziłby się na propozycję sympatycznego figlarza.

To, co się urodziło komedią, a stało się później powieścią, ma niebawem w pierwotnej formie ukazać się w „Rozmaitościach”. Będzie to naprawdę eksperyment zajmujący. I wtedy obszerniej pomówimy o satyrze p. Schifmana.

W. R.

Z zabytków przeszłości.

Zbiory nieodżałowanej pamięci miłośnika pamiątek ojczystych, zmarłego w końcu roku zeszłego Mathiasa Bersohna, ofiarowane za życia ich właściciela Towarzystwu Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie, powiększyły się w ostatnich czasach nową ofiarą, przeznaczoną przez córki zmarłego na cele użyteczności publicznej.

Obfitująca w dzieła, odnoszące się do historii sztuki, biblioteka Mathiasa Bersohna w ilości kilkuset tomów, wraz z kartonami rycin, fotografii, litografii etc. przeszła już w posiadanie Komitetu Towarzystwa Zachęty, który ze swej strony przyjął obowiązek umieszczenia owego daru w sali imienia ofiarodawcy, w celu udostępnienia go pracownikom w dziedzinie sztuki.

Oprócz biblioteki artystycznej, otrzymało Towarzystwo Zachęty z tegoż źródła kilka cennych malowideł historycznych, mających zdobić salę Bersohna. Znajdują się tam, między innymi, dwa wielkie portrety z epoki dawniejszej, jeden z napisem: *Bartholomeus dux Masoviae*, przedstawiający zapisodawcę miasteczka Garbolewo na rzecz

zakonników opactwa Czerwińskiego w roku 1217, oraz portret opata Czerwińskiego, Mateusza Kraszewskiego, kanonika katedralnego płockiego, żyjącego w drugiej połowie XVIII w., tłumacza traktatów Św. Augustyna (Warszawa, 1759 r.).

Pierwszy z pomienionych portretów, niewątpliwie dzieło nieznanego malarza z wieku XVII, budzi zaciekawienie ze względu na zagadkową postać owego Bartłomieja, „księcia mazowieckiego”, dotychczas w genealogii byłych władców Mazowsza nie wzmiankowanego. Wdzięczny to przedmiot dociekań dla badaczy dziejów tej dzielnicy kraju.

Ozdobą sali będzie nie mniej siedm malowideł na blachach trumiennych z popiersiami dostojników, oraz matron polskich w strojach narodowych z ubiegłych wieków.

Zanim Warszawa doczeka się tyle upragnionego muzeum miejskiego, w czasowe posiadanie Towarzystwa Zachęty, po ostatecznym urządzeniu sali Mathiasa Bersohna, przejdzie cenna kolekcja jedenastu artystycznie wykonanych przez malarzy bawarskich kopii portretów królów, królowych i królewiczów polskich, których oryginały znajdują się w muzeum germańskim w Norymberdze, oraz w Heidelbergu. Wykonane zostały owe kopie na zamówienie Bersohna w r. 1883. Przedstawiają one w porządku na załączonej tu reprodukcji ich fotograficznej, licząc od góry: 1) Maryę Kaziemierę Sobieską; 2) w drugim rzędzie od strony lewej Elżbietę Zygmuntową Rakuszanę, królową polską i wielką księżną litewską, żonę Zygmunta Augusta († 1545); 3) Katarzynę Jagiellonkę, królową szwedzką, córkę Zygmunta Starego i Bony Sforcyi, księżniczki medyolańskiej (1526 — 1583); 4) w trzecim rzędzie od strony lewej—Teresę z Lubomirskich księżnę neuburską, drugą małżonkę kurfiarstwa bawarskiego Filipa Augusta († 1695); 5) królewicza Władysława Wazę (IV-go) w wieku dziecięcym; 6) królewicza Aleksandra, syna Jana III Sobieskiego (1677—1714); 7) Józefa, księcia saskiego i polskiego (1727); 8) Zygmunta III Wazę w wieku młodzieńczym; 9) w czwartym rzędzie od strony lewej Teresę Kunegundę Sobieską, żonę elektora bawarskiego Maksymiliana Emanuela (1694); 10) Fryderyka, królewicza saskiego i polskiego (1726); 11) Stefana Batorego, króla polskiego.

Do powyższej kolekcji przejdą nadto: gablota z insygniami wolnomularskimi, zawierającymi rzadkie okazy wstąg, orderów i symbolów masonskich; portret księcia Józefa Poniatowskiego w wieku młodzieńczym, w całej figurze, w ramach, ozdobionych koroną królewską i inicjałami Stanisława Augusta, wreszcie wizerunek katafalku księcia Józefa, wykonany w roku 1813 na zamówienie mieszczan warszawskich, w czasie pamiętnego pogrzebu Wodza. Z chwilą otwarcia muzeum miejskiego wylizowane tu zabytki przejdą w jego posiadanie.

Niezależnie od wymienionych powyżej darów, część biblioteki historycznej Mathiasa Bersohna, zawierająca cenne dzieła w różnych językach, oraz druki z wieku XVI, przeszła już z woli córek zmarłego na własność Biblioteki ordynacyi hr. Krasieńskich, kolekcja zaś nut—na własność Towarzystwa Muzycznego. Z ustaleniem się pracowni historycznej Oddziału II Towarzystwa Naukowego, oddane jej będą również na własność dzieła treści odpowiedniej. Towarzystwo Opieki nad zabytkami przeszłości, oprócz kolekcji miast Królestwa Polskiego, i pieczęci kilkanaście Varsovianów.

Przeważną część zbiorów zmarłego, zawierająca rzeczy krajowe, pozostanie w rodzinie, reszta zaś, jako to: obrazy olejne dawne różnych mistrzów i szkół (między którymi znajdują się dzieła Fr. Bouchera, Karela du Jardin, Adr. Brouwera, v. der Meulen, van der Neer, Reulanda Savery, Berghema, Mommersa, Netzchera i t. d., kolekcja ceramiki, bronzów, gemm, alabastrów, marmurów i kosztowności, sprzedaną będzie w końcu maja r. b. w drodze działów. Bliższe szczegóły podane będą w swoim czasie do wiadomości publicznej.



Akwarele ze zbiorów Mathiasa Bersohna, przeznaczone dla Muzeum miejskiego w Warszawie.

*) Arnold Schifman: „Pankracy August I”.



HELENA MODRZEJEWSKA W ROLI KLEOPATRY W TRAGEDYI SZEKSPIRA: „ANTONIUSZ I KLEOPATRA”.

MODRZEJEWSKA.

Helena Modrzejewska—Helena Opidówna, urodzona pod Tarnowem w Galicyi, nosząca przybrane, głośnie nazwisko Modrzejewskiej, poślubiona Karolowi Chłapowskiemu, jedna z najznakomitszych artystek dramatycznych, żyć przestała zdala od ojczyzny, na obcej ziemi, w Newport Beach, nad oceanem Spokojnym w Kalifornii południowej.

Dożyła lat sześćdziesięciu sześciu; do ostatnich niemal chwil życia nie tylko że nie

opuszczała ukochanej sceny, lecz lat temu sześć jeszcze nowe tworzyła role (np. podczas występów we Lwowie i Krakowie w „Warszawiance” Wyspiańskiego oraz w „Protesilasie i Laodamii”); sławy zaznała do znacznego stopnia wszechświatowej; ojczyźnie swej, Polsce, kulturze jej teatralnej, poświęciła za ledwie lat dziesięć z okładem, mniej więcej od r. 1865 do 1877; towarzyszyły jej po świecie szerokim cześć i uwielbienie rodaków; gdy w gościnę przybywała do nas, witano ją, jako dostojną przedstawicielkę „naszej sławy” — wśród obcych.

Życie miała piękne, niepowszednie i zgodne z gorączkowymi porywami duszy nawszkroś artystycznej, wolnej od wszelkiego kabotynizmu. Rzec wolno, że trafem tylko najszlachetniejszy artyzm Modrzejewskiej znalazł dla siebie ujście w kunszcie aktorskim. Byłaby w równym stopniu, równie doskonale, służyła Sztuce w każdym innym „wyzwolonym” zawodzie. Miała po temu duszę górną i gorącą. Miała po temu wogóle organizację duchową.

Jako interpretatorka takich ról, jak: szillerowska „Marya Stuart”, Sofoklesa „Antygona”, „Lady Mackbeth”, Adryanna Lecouvreur,

Ofelia, Feuilleta Dalila, Dumasa księżna Jerzowa, Nora, wojewodzina z „Mazepy” Słowackiego, Aniela ze „Ślubów panińskich”, hrabina Idalia z „Nowej Dejaniry” Słowackiego — aby tylko główne i najznakomitsze „kreacje” Modrzejewskiej wymienić — pozostanie wzorem: szlacheckiego stylu, wdzięku, prostoty, dystynkcji i gracyi, znakomitej wymowy, szczerego, pełnego uczucia liryzmu, majestatyczności i wielkiego poszanowania dla interpretowanego dzieła.

Były to kardynalne cechy gry Modrzejewskiej, których urokowi poddał się swego czasu Londyn, które imię jej rozstawiły po świecie. Podbijała niezrównanym czarem niewieścim, plastyką, głębokością uczucia, oraz wzniosłością koncepcji całej, wolnej zarówno od patosu, jak od naturalizmu. W przeciwieństwie do gry takiej Wolter, Sary Bernhardt lub Duse, cały kunszt aktorski Modrzejewskiej wolno by nazwać klasycznym, a przynajmniej wyrazić się, iż trzymany był w klasycznym, idealizującym stylu.

Głód wrażeń i pragnienie szerokiego lotu oderwały ją od nas. Po siedmiu latach pobytu na warszawskiej scenie (wpierw, po debiucie w Wieliczce w skromnym teatrzyku, grała w Krakowie), w roku 1876 urzeczywistniła Modrzejewska zamiar swój, dawno żywiony. Opanowawszy mowę angielską, udała się do Ameryki i debiutowała na scenie w San Francisco. Nastąpiła potem długa, tryumfalna *tournee* po Stanach Zjednoczonych; potem szereg gościnnych świetnych występów w Anglii; potem osiedlenie się na stałe w Ameryce, pobyt, przerywany odwiedzinami rodzinnego kraju. Ostatni raz ukazała się Modrzejewska na scenie warszawskiej w roku 1882, budząc zachwyt nieopisany; w Krakowie witano ją na scenie po raz ostatni w roku 1893 i 1894.

Z Sienkiewicza „Szkieł amerykańskich” znamy cudowną malowniczość nadoceanowych stoków gór Santa Anna w Kalifornii. Wielki nasz pisarz zwiedził tamtejsze okolice w roku 1876, zwiedziła je niebawem Modrzejewska, i dzięki jej inicjatywie i staraniom powstała tam osada polska, zwana „Modjeska Ranch”.

Tam też, w lat dziesięć po „rewelacjach” Sienkiewicza, zbudowali dla siebie pp. Chła-

powscy rezydencję, w przepięknym wózku, lecz wyniesionym wysoko nad poziom oceanu. W rezydencji tej egzotycznej, w doskonałym klimacie, iście leczniczym, spędzała Modrzejewska kilka co rok miesięcy. Oficjalną nazwę nosiło to *at home* — Arden (tak zowie się las w Szekspira „Jak się wam podoba”), lecz „Modjeska Ranch” mówiono w dalszej i bliższej okolicy, i utarła się ta właśnie nazwa, słusznie związana z nazwiskiem wielkiej artystki.

Dziś, gdy życie jej wypełniło się i przeszło na karty dziejów naszego rozwoju kulturalnego, splemy dla Modrzejewskiej wieniec ostatni: z róż i lauru, wieniec zasłużony i zaszczytny. W swoim zakresie, na wszechświatowej zgiełkowej arenie, była ona bowiem *godną i dostojną przedstawicielką imienia polskiego*.

Ten tytuł, bardziej niż pamięć o znakomitej aktorce, której kunszt, z natury rzeczy, jak wszelkie wirtuozostwo artyzmu, znikł bez śladu dla potomnych, ten tytuł — otoczmy czią i nie dajmy zapomnieć o nim.

Wszak życie narodu naszego tylko już dziś trwa i rozwija się jedynie w czynach i duchu jego przedstawicieli. A przedstawicielem, aczkolwiek bez mandatu, narodu polskiego, jest każdy z nas, na własnej lub na obcej ziemi.

Pamiętała o tem Modrzejewska — zawsze i wszędzie. I przykazaniu temu uczyniła chlubnie zadość.

CZESŁAW JANKOWSKI.



Kościół Matki Boskiej w Inowrocławiu. Zniszczona ściana kruchty z widocznymi filarami wewnątrz kościoła. Fot. I. Trando.

Zapadające się miasto.

Tegoroczne święta wielkanocne pamiętne będą niezwykłą katastrofą, jaka dotknęła jeden z najstarszych grodów polskich. Nasuwa się analogia z przeszłorocznym poświęceniowym okresem po Bożem Narodzeniu na słonecznej Sycylii, analogiczna szczęściem niezupełnie, gdyż katastrofa w Inowrocławiu, mimo strasznych pozorów, nie pociągnęła za sobą ofiar w ludziach.

Bogactwem Inowrocławia są eksploatowane już od dość dawna kopalnie i warzelnie soli. Po wydobywaniu soli pozostały pieczary, które podmyła woda zaskórna. Takie były przyczyny katastrofy, a przebieg wypadku był następujący.

W Wielki Piątek dnia 9 b. m., około godziny piątej popołudniu, podczas nieszporów, w chwili kiedy właśnie rozpocząć się miało kazanie w nowym kościele, pod wezwaniem Matki Boskiej wzniesionym niedawno kosztem znacznych składek, usłyszano głuchy łoskot, poczem dwie ławki przed amboną podniosły się na łokieć w górę, a równocześnie zarysowały się mury świątyni.

Mimo paniki, udało się wszystko prawie z kościoła uratować. Potem w jednej chwili runął w przepaść podmyty wodą portal frontowy ze schodami i częścią murów. Prawie równocześnie zaczął się zapadać budynek, mieszczący probostwo, mieszkanie i kancelaryę parafialną. Stąd zaledwie zdołano uratować akty. Woda, która zalała pieczary podziemne, powoli ustępuje.

Straty są zatem dość znaczne, ale na szczęście materialne tylko. Nie było wypadków z ludźmi, dlatego że po zapadnięciu się gruntu woda podmywała fundamenty powoli, i to było ostrzeżeniem przed groźącym niebezpieczeństwem.

Dotknięty katastrofą Inowrocław jest co do wielkości trzecim z kolei miastem w Wielkim Księstwie Poznańskim. Wśród ludności przeważają katolicy i Polacy, co nie przeszkodziło jednak sławetnej radzie miejskiej przeprowadzić zmiany zbyt polskiej nazwy Inowrocławia na czysto niemieckie „Hohensalza”. Był to jedyny czyn historyczny w dziejach ostatnich lat miasta, które miało za sobą dawną historyczną przeszłość. Już w r. 1158 istnieje; należy do księcia mazowieckiego Leszka; otrzymuje prawo magdeburskie w r. 1240 od księcia kujawskiego Kazimierza. Później przechodzi przez okres sporów i wojen krzyżackich, a w r. 1396 odbywa się w Inowrocławiu zjazd przedstawicieli Polski i Zakonu, zjazd, upamiętniony wieszczką królowej Jadwigi, wróżącą pogrom Zakonu i niebawem pod Grunwaldem spełnioną. Kościół, dotknięty katastrofą, jest nowy, ale stoi obok muru starej świątyni, również pod wezwaniem Matki Boskiej, lecz jeszcze w XI wieku wzniesionej. Ruiny wieży starego ratusza, w pobliżu kościoła położone, są jeszcze jedynymi pamiątkami polskiej przeszłości, szczątkami, które padły ofiarą katastrofy.



Kościół Matki Boskiej w Inowrocławiu po katastrofie w Wielki Piątek 9 kwietnia. Fot. I. Trando.



Nad stawem w Nagłowicach.

MOJA GMINA.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Moja gmina na świat sławna!
Moja gmina w chwale chodzi!
W mojej gminie z dawien dawna
Od pradziadów ziemia rodzi...
Rodzi żyto i pszenicę
Dzwonne śpiewki, myśli zdrowe..
Moja gmina—Nagłowice!
Pra-dziedzictwo Imię Reyowe!

W mojej gminie, jak przed laty, stare barcie szumią w boru, po staremu stoją chaty ponad traktem wedle dworu, czy to słonko, czy zawieja, czy to ludzie, czy to drzewa, jak za czasów pana Reya, po dawnemu wszystko śpiewa...

Moją gminą z onych czasów, od Szczekocin po Jędrzejów, połankami, szlakiem lasów szedł szmat spory naszych dziejów!

Szły naprzemian: sejmy, bitwy, szły zwątpienie i nadzieja...

I zawody, i modlitwy brzmiały w gnieździe pana Reya!

Moją gminą, dawnym traktem szli rycerze i panowie...

Hej! niejednym gwarzy aktem stary kłasztor w Jędrzejowie! rok za rokiem nowe echo wietrzyk polny dla rozgrzewki nad „nagłowską” nosząc strzechą, do Reyowskiej wiązał śpiewki...

W mojej gminie środkiem wioski i królewskie szły orszaki! i sam książę Poniatowski! sam Kościuszko wiódł wojaki! sam Kościuszko kmieci syny na ojczyzny wodził dole... Niedaleko mej gminy szczekocińskie krwawe pole!

Moja gmina—na świat gmina! moja gmina nad gminami.

Gada w lasach Rakoszyna rok trzydziesty krakusami, gada Oksa w swej dąbrowie, „mało-

goska” gada knieja...

Wszystko gada w onej mowie, jak za czasów pana Reya!

W mojej gminie, na świat sławnej,
Nic nie poszło pod mogiłę!

To, co posiał dziedzic dawny,
Zachowało moc i siłę!

Jedna wina i nadzieja,
Jedne echa sercem

płyną
Polska gmina, jak za Reya

Pozostała polską gminą.

I tak jest istotnie.

Nie przez partykularny patriotyzm, nie dlatego, że mam zaszczyt liczyć się gminiakiem Nagłowic, zwę moją gminę sławną!

Nie znam strony kraju, któraby więcej wspomnień historycznych zachowała nad ten szmat kraju w widłach Pilicy i Nidy w trójkącie między Szczekocinami, Wodzisławiem a Jędrzejowem położony, a w którego pośrodku leżą Nagłowice.

Co wiesz, to pamiętkowe gniazdo! Więc, poczynając od prastarej Lanckorońskich siedziby Wodzisławia, Olszówka, niegdyś dziedzictwo Imci Pana Chryzostoma Paska, więc pod Szczekocinami Goleniowy, sadyba pana Wespazyana Kochowskiego, więc kołyska Czarnieckiego Czarnca, więc bliżej Nagłowic w samej nagłowskiej gminie: Sieńsko Laskowskich, z dworem, w którym nocował Kościuszko, i starą karczmą, niegdyś stacją pocztową za Stanisława Augusta jeszcze, więc Rakoszyn, Cierno, Skroniów, słynne z szóstego dziesiątka lat ubiegłego wieku, więc Jaronowice z najpiękniejszym w całym kraju ludem po krakowsku świętek piątek odzianym! Nareszcie Oksa i Nagłowice, Rejowskich pamiętek pełne!

Jest w tej sadybie pana Mikołaja jeszcze dwór latosi, w którym dygnitarzy Rzeczypospolitej babińskiej suto podejmował, jest prastara kuźnia, jest stary kościółek z czasów kalwińskiego dziedzica, obok świeżo sumptem parafii, a głównie dzisiejszych dziedziców, pp. Kosickich, zbudowanej gotyckiej świątyni. I barcie stare są pewnie czasy pana Mikołaja pamiętające. I tradycja Reyowa do dziś wśród ludu żywie. Lud nagłowski rad opowiada o dziedzicu, co „kiejsi kiejsi” księgi pisał, i chepi się tem przy sposobności i w „zaduszki” na wypominki za jego duszę daje. A i fantazyę do dziś zachował Reyowską! Buńczuczny jest, zadzierzżyty, przyjąć a ugościć lubiący. Do fuzyjki także sprawny. Wiedzą coś małogoskie lasy o kłusownikach nagłowskich.

W koniu także się kocha. W gminie przechowuje się dotąd rasa arabów, słynne „wąsowiczowskie” kasztany, przez późniejszego dziedzica, Oksy Wąsowicza, sprowadzone.

Bodaj że ze wszystkich gmin, nagłowska gmina ma najbardziej tradycyjnego polskiego chłopca.

Reyowskie śpiewki do dziś nie przebrzmiały.

K. LASKOWSKI.

NOWY TEATR LUDOWY.

Od lat kilku istnieje w Krakowie teatr ludowy, założony przez znanego artystę, Knake-Zawadzkiego, w celu uprzystępnienia prawdziwej sztuki i poezji jak najszerzym warstwom ludności. Instytucja ta jednak po ustąpieniu jej twórcy upadła, stając się polem dla doświadczeń nie zawsze szczęśliwych rozmaitych przedsięwzięć, najczęściej zupełnie młodych i do zadania tak trudnego, jak należyte kierowanie teatrem ludowym, zupełnie nie przygotowanych.



Maryś, pocztarek nagłowski.

Dopiero teraz dla teatru ludowego w Krakowie zdają się nadchodzić lepsze czasy. Na czele jego stanął bowiem p. Edmund Rygier, sam wybitny artysta dramatyczny, który na stanowisku dyrektora teatru w Poznaniu, na którym wytrwał lat dwanaście, złożył dowody niepospolitego talentu, także jako administrator i kierownik artystyczny. Staraniem p. Rygiera lokal, w którym się obecnie teatr ludowy mieści, został odnowiony, tak że na Wielkanoc rozpoczęły się już przedstawienia wedle nowego planu, wykonywane przez zreorganizowany i skompletowany personel.

Zabranie się p. Rygiera do sprawy teatru ludowego pozwoli spodziewać się także, że postanowiona już zasadniczo budowa wielkiego gmachu dla teatru ludowego z salą na 2,000 osób przejdzie rychło ze sfery planów i nadziei w dziedzinę rzeczywistości, co będzie dla Krakowa bardzo pożądanym nabytkiem, ponieważ teatr miejski, mając inne zadania do pełnienia, nie może równocześnie zaspokajać potrzeb kulturalno-artystycznych szerokich warstw uboższej ludności.

S

Z ANTOLOGII PRZEKŁADÓW.

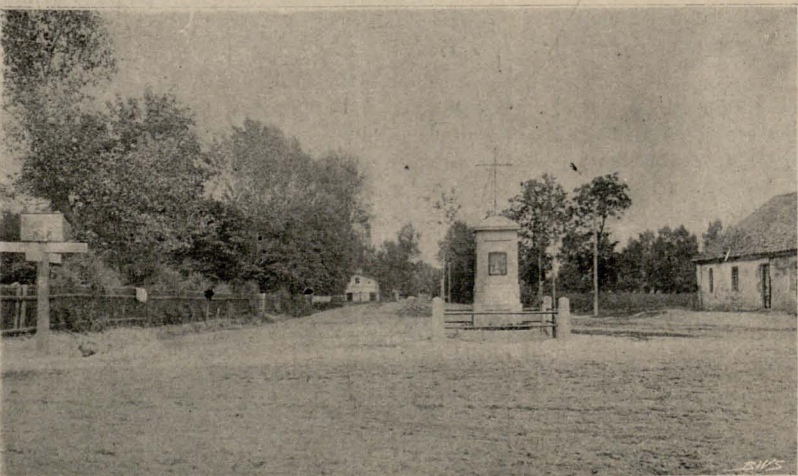
BRONISŁAWA OSTROWSKA:

STANCE.

JAN MORÉAS.

Lubię, srebrny księżycu, kiedy blask twój pada
Na las nierównych masztów w leniwej przystani...
Lecz wolę, kiedy w parku pieści jaśń twa błada
Ławkę, kędy się wsparłem na marmuru grani.

Lubię twój blask młodzieńczy i twe zwiędłe blaski...
Lubię cię w szerzy nocnej bezmiernych równinach,
I nad cichem jeziorem, nad srebrnymi piaski,
I w mym drogim Paryżu na smukłych kominach...



Droga wiejska.

SZYMON TOKARZEWSKI:

ZE WSPOMNIENI KATORŻNIKA.

„A JEDNAK...”

Jednego z rozbitków 1863 roku, Olgierda Malkiewicza, zagnały losy do miasteczka Kołymki na Syberii. Niechętny wygnańcom polskim „starszyna” (sołtys) umieścił go w ciemnym przedsionku tak zwanej: „Czarnej łaźni”, to jest łaźni, dla trędowatych przeznaczonej.

W tem schronisku okropnem Olgierd nie mógł wszakże zamieszkać na stałe. Wykopał własną ręką dół głęboki, nad nim usypał kopczyk i przeniósł się do tej jamy. Kawałem wojtoku zasłonił otwór, którym się wsuwał do jamy; gładkie tafle lodu, umieszczone w otworach, zastępowały szyby. Żywił się rybami, które sam na wędkę łowił w Irtyszu, i zwierzyną, którą chwycił w sidła, gdyż posiadanie strzelby było mu najsurowiej wzbronione.

A kiedy mrozy lodem skuły Irtysz, kiedy zamieć potworzyła zasy pył śnieżne, wysokie na kilka łokci, Olgierd żył tylko herbatą i podpłomykami, które sam sobie wypiekał. Sam też przynosił sobie drwa z lasu i wodę z najbliższej studni, długie zimowe wieczory przepędzał przy świetle łuczywa, a gdy tego zabrakło, w ciemności zupełnej.

Na każdym kroku pilnie strzeżony, Olgierd zyskiwał sobie jednak życzliwość sąsiadów, chociaż, co prawda, nie starał się o to bynajmniej.

Chociaż za herbatę, za słomę na posłanie żądano od niego ceny dziesięćkroć wyższej od zwykłej, nie targując się, płacił. Na brutalne zaczepki nie zważał, zagabnięty kłaniał się grzecznie i odpowiadał gwarą ludową, której się był w batalionie omskim nauczył. Wreszcie mieszkańcy Kołymki zaczęli mówić:

— Czart jego wie, może on i dobry człek jest? czart jego wie!

Pewnego razu w Olgierdowej „ziemlance” zjawił się „starszyna”.

— Przychodzę do ciebie w gościnę—rzekł—rozważ sobie, co to za honor dla ciebie... ja, najwyższy urzędnik w Kołymce, zaszedłem do ciebie, który jesteś tutaj, niby on robak najlichszy!

— Nie jestem ja robakiem najlichszym—z godnością odparł Olgierd—Pan Bóg mnie i wam dał jednakową duszę nieśmiertelną, przeto jestem równy wam, Mitryj Stepanycz.

— Jakże to równy!—krzyknął zaperzony „starszyna”—ja urzędnik, a ty „posieleńczyk”.

— Dzisiejszy posieleńczyk może być jutro na najwyższy urząd powołany.

Chłop zmiękł, zdjął futrzaną bermycę i rzekł pokornie:

— Prawda waszał batiuszka car wszystko może, co miłościwie zechce. Tak tedy nie kłóćmy się, ja do was, Olgierdzie Stepanowiczu, po przyjaźni przyszedł, proszę, abyście przyszli z waszem śpiewającym pudłem do mojej chaty, w dziedzielnę na „dziewicznik” *).

Malkiewicz był doskonałym skrzypkiem. Podczas tych ciężkich dni, jakie przeżywał w Kołymce, muzyka była dlań jedyną rozrywką, jedyną pociechą. Grywał też dużo, nie wiedząc, że wokoło jego „ziemlanki” zbierało się zwykle bardzo liczne audytorium.

* * *

Kiedy w dzień oznaczony Olgierd ze swoim „śpiewającym pudłem” wchodził do domu „starszyny”, zastał już tam wszystkich uczestników „dziewicznika”. W „gornicy” były wyściełane meble, na podłodze krasne dywany, ściany zaś obwieszane wizerunkami świętych cudotwórców i pa-

*) „Dziewicznik” jest to zabawa, którą dziewczyna, w związek małżeński wstępująca, wyprawia dla swoich przyjaciółek i towarzyszek.

tronów, w sukienkach ze srebrnej, albo pozłacanej blachy, usianej drogimi kamieniami syberyjskimi. Przed każdym obrazem od sufitu na łańcuszku zwieszały się płonące lampki srebrne, w srebrnych wielkich lichtarzach paliły się cieniutkie świeczki woskowe.

Płec nadobna postrojona była w jedwabne szaty o krzyczących barwach. Mężczyźni mieli na sobie długie kapoty, obrzeżone czarnym półaksamitem, wyszywanym w różnokolorowe kwiaty i arabeski. Dygnitarze wioskowi, „starszyna” i pisarz gminny, mieli grube futrzane rękawice, jako oznakę dostojenstw, które piastowali.

W pośrodku izby stał stół, okryty białym obrusem. Przy nim na ławach siedzieli tak zwani „urzędnicy weselni”: „tysiacyjny”, „bojarowie” starszy i młodszy, „rodzice weselni” w otoczeniu druzhen i przyjaciółek narzeczonej. Na końcu stołu, pod obrazem Mikołaja Cudotwórcy, okryte dywanem było wzniesienie, rodzaj podyum, na niem krzesło, też dywanem okryte. Uroczystości weselne rozpoczęły się od oczepin.

Druhny ukryły narzeczonego w najciemniejszym kącie „gornicy”, oblubienica zaś, Natasza Mitrowna, zasiadła na podyum.

Wówczas pierwsza druhna, rozplatając warokocz Nataszy, zaintonowała pieśń, którą jednostajnym i smętnym tonem chórem zaśpiewały wszystkie dziewczęta:

„Nie będziesz z nami, Nataszo, płasac,
Nie będziesz.

Ani się bawić w rozłuki *),
Ani wianuszka nie rzucisz w Irtysz,
Ni za dziewiczym stołem zasiędziesz”.

Natasza nosowem *parlando* odpowiedziała:

„Nie będę z wami płasac,
Nie będę.

Ani się bawić w „rozłuki”,
Ani wianuszka nie rzucę w Irtysz,
Ni przy dziewiczym stole zasięde”.

Druhny zaśpiewały znów:

„Zdejmą ci, niebogo, wianuszek,
Główkę ci chustką obwiążą,
Już też wianeczka nikt ci nie wróci,
Gdy raz spadł z głowy,
Spadł już na zawsze”.

Natasza odpowiedziała:

„Zdejmą mi z głowy wianuszek” i t. d.

Te śpiewy przy oczepinach były bardzo długie. Tymczasem goście weselni raczą się gorzałeczką.

Kiedy Natasza Mitrowna tak gorzko zawodzi, że już wprędce utracić ma swój wianek dziewiczy, drzwi od sąsiedniej izby otwierają się z trzaskiem, i do „gornicy” wtacza się rumiany, sześćoletni tłuścioch, który wprost kroczy ku podyum.

Narzeczonego i drużbowie zatrzymują tłuściocha.

— Po co tu leziesz, Igoroko?—krzyczą—poszoł won!

— Nie puńde!—broni się malec czupurny i woła energicznie:

— Mamasza! mamasza! chodź prędko pokarmić Tatjanę, bo wrzeszczy, jakby ją kto ze skóry łupił.

Mamasza, to jest Natalia Mitrowna, zstępuje z podyum, kroczy poważnie, stukając wysokimi obcaczami lakierowanych bucików, uprowadza z sobą Igorę i znika za drzwiami.

— „Wot krasawica!” jak stąpnie, to aż podłoga trzeszczy! „Wot krasawica!”—cmokają mężczyźni, pożądliwymi oczyma ścigając wychodzącą.

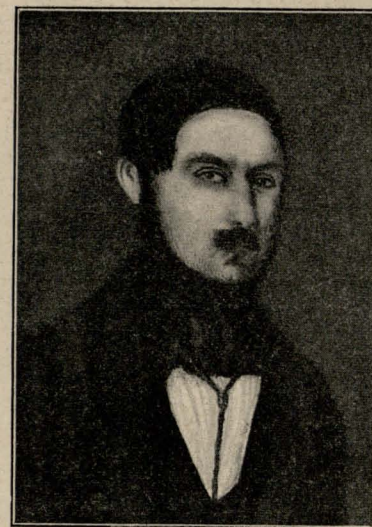
— Ile też pudów waży wasza córeczka, Mitryj Stepanycz?—ktoś zapytuje. Starszyna uśmiecha się z miną uszczęśliwionego ojca.

— Sześć pudów—odpowiada.

— Chyba więcej—wtrącają się drużbowie—chyba więcej.

— Nawet i pięciu pudów nie waży Natasza Mitrowna—woła jakiś oponent. (DN)

*) „Rozłuki”—zabawa, polegająca na tem, że dwie dziewczyny, biegnąc, usiłują pochwycić się za ręce, a trzecia im przeszkadza.



WINCENTY DYDZIAŁ W MŁODOŚCI.

Jeden z ostatnich.

I znowu wypada nam żegnać jednego z ostatnich... Tym razem jednego z ostatnich, jeżeli nie ostatniego uczestnika rewolucji 1830 r.

W Issoudun, we Francji zmarł w wieku lat 98 Wincenty Dydział, który po rewolucji schronił się do Francji. Ur. w r. 1811 w Szawelańcach, w pow. wilkomierskim, pochodził z rodziny szlacheckiej i obywatelskiej. Jako młodzieniec dwunastoletni, stanął w szeregach powstańczych.

Francja była mu drugą ojczyzną. Powszechnie ceniony i szanowany, pełnił z kolei różne urzędy w podprefekturze w Issoudun, a od r. 1891 pobierał pensję emerytalną.

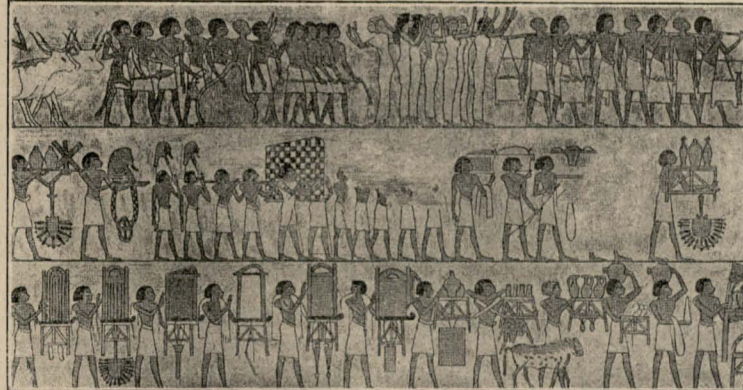
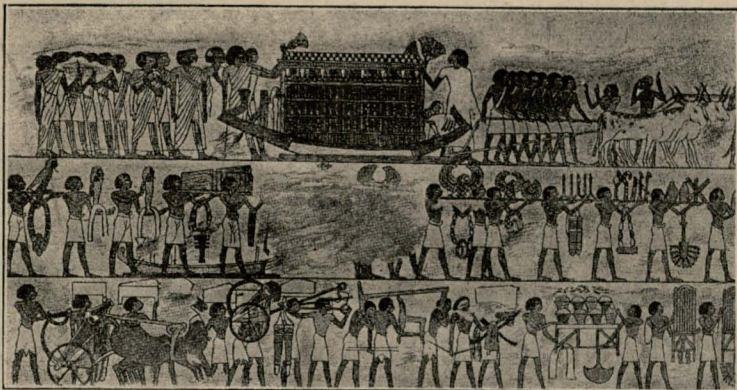
Był to starzec wyjątkowy. Do końca korzystał w pełni ze swych władz umysłowych. Czytał bez okularów, interesował się życiem i otoczeniem. Tęsknił do ojczyzny, ale tę tęsknotę chował w głębi serca. Od życia politycznego i od rozrywek powszednich trzymał się zdala. To też, jako urzędnik, przetrwał kilkakrotne zmiany rządu; w życiu prywatnem zgoła obca mu była kawiarnia i klub; jedna tylko pozostała mu namiętność, w oczyszczonych lasach nabyta—polowanie.

W r. 1836 ożenił się z panią Adelą Maurion, nauczycielką przełożoną zakładu naukowego w Issoudun. Z małżeństwa tego pozostała jedyna córka, pani Matylda Nivelles, której urzędności zawdzięczamy szczegółowy z życia ojca. Pani Nivelles pragnie nawiązać stosunki z rodziną ojca, o ile żyją jeszcze jej przedstawiciele; mieszka w Paryżu, ul. Jouffroy Nr. 91.

Weteran wojny z 1830—31 r. w swej przybranej ojczyźnie cieszył się wielkim szacunkiem. Nad trumną jego wygłoszono wiele serdecznych mów. Zabrakło zapewne tylko grudki dalekiej, ziemi ojczystej... Niechże zastąpi ją to serdeczne wspomnienie z nad brzegów Wisły.



WINCENTY DYDZIAŁ W OSTATNICH LATACH ŻYCIA.



Orszak pogrzebowy bogatego Egipcjanina. Liczna służba przynosi sprzęty i przedmioty użytku powszedniego.

Przed czterema tysiącami lat..

Mało jest zapewne równie silnych wrażeń, jak zwiedzanie ruin Pompei. Niezwykle silnych dlatego, że chwytamy tam życie starożytne na gorącym uczynku, widzimy zastygłe przed wiekami ulice i mieszkania, takie, jakimi były wistocie. A chociaż ściany ogołoczone z ozdób, mieszkania — z naczyń i przyrządów życia codziennego, przecież wyobraźnia znajduje tu więcej danych do odtworzenia przeszłości, aniżeli w najbogatszym muzeum historycznym.

Muzea są niewątpliwie obfitem źródłem nauki, dają obraz przeszłości, ale rozbity na szczegół, rozklasyfikowany według różnych przedmiotów, broni, urn, ozdób, monet. Nie dają syntezy. Zwłaszcza przy pobieżnym zwiedzaniu pozostaje w umyśle przechodnia ślad w postaci wspomnienia jakichś najciekawszych okazów. Bez książki — poglądowo — niepodobna w nich zdobyć wzrokowego odtworzenia przeszłości.

Są wyjątki. W muzeum w Turynie znakomity archeolog Schiaparelli, uczeń jeszcze znakomitszego egiptologa francuskiego Maspero, odtwarza ściśle życie domowe Egiptu z przed lat czterech tysięcy. Jako materiał do tego celu, służy mu bogate odkrycie, jakiego dokonał w egipskiej Dolinie Królowych. Znalazł tam nietknięty, nie sprofanowany niczyjemi rękami grób budowniczego większości wspaniałych gmachów tebańskich, których ruiny i dziś oglądać można, inżyniera *Kha*, oraz jego małżonki *Mirit*. Grób ten ocalał dzięki zarwaniu się kawała gruntu, przez co zakryte zostały wszelkie ślady jego istnienia. Nie był pokusą dla chciwości ludzkiej, jaką były od wieków groby egipskie z powodu nagromadzonych w nich skarbów.

Bo dla Egipcjan śmierć była tylko ściśle przejściem z jednego życia do drugiego, w którym zmarli zachowywali wszystkie przyzwyczajenia i potrzeby pierwszego. I zabierali ze sobą na nową wędrówkę wszystkie te przedmioty, które należały do użytku powszedniego. Więc groby Faraonów i bogaczy były istnymi skarbcami kosztowności.

Zatem, opisując wnętrze grobu z Doliny Królowych, możemy powiedzieć, że składamy wizytę panu *Kha* i pani *Mirit*, którzy żyli na świecie cztery tysiące lat temu.

Zapoznajmy się z gospodarzami.

Inżynier *Kha* spoczywa zabalsamowany w trumnie złoconej. Był to mężczyzna dobrego wzrostu — mierzył 1 m. 75 cm. wysokości. Obok skrzyni stoi posążek — podobizna jego. Czoło wysokie, sklepione, oczy patrzą śmiało, kształty wysmukłe, odziany w krótką fałdowaną szatę.

Niema posążku pani *Mirit*. Ale rysy twarzy mumii doskonale zachowane. Rysy drobne; wielkie oczy czarne uśmiechają się tajemniczo; obfite włosy czarne spadają na zasłonę złotą i niebieską. Wzrostu średniego — 1 m. 50 cm. — kształty wysmukłe.

Obok skrzyni długi, kilkunastostopowy papyrus, opisujący, jako małżonkowie zmarli w kilka dni jedno po drugim i dlatego razem zostali pochowani.

Na ścianach rzeźbiony olbrzymi orszak pogrzebowy. Wielkie ilości pożywienia — przede wszystkim. Stoją wielkie kosze i sznury, które świadczą o ich ciężarze. Więc chleby różnego kształtu, masło, mięso surowe i solone, ryby solone, kartofle, szpinak, czosnek. Dalej, jak bombonierki, śliczne koszyki, pełne daktyli, fig, rodzynków, tamaryndek, orzechów kokosowych, amfory z oliwą, z mlekiem, z winem. Szklanki, talerze, miski...

W nowej wędrówce *Kha* miał być ciągle jeszcze inżynierem. Zatem towarzyszą mu wszystkie narzędzia jego zawodu: materiały piśmienne, czyli pendzelki i farbki, które służyły do kreślenia



Przenoszenie mebli i sprzętów z grobu do muzeum.

tajemniczych znaków pisma egipskiego, przyrządy miernicze, łaski, wreszcie, niestety, *kurbasz*... Biał ciężki, którym można było zabić człowieka. Przy jego pomocy powstawały wspaniałe piramidy i grobowce, które podziwiamy. Utrzymywał on dyscyplinę wśród tysięcy niewolników, usuwał od roboty — i z życia tchórzów i próżniaków.

Pani *Mirit* wzięła ze sobą robotki kobiece i przybory toaletowe. W koszyczku panuje zwykły nieporządek; śnać nie myślała o wieczności ciemnooka główka, kiedy drobne rączki zanurzały się tu po raz ostatni przed czterema tysiącami lat. Wraz z jedwabiem białym i czerwonym, którym haftowała poduszki, nożyczkami, szpulkami, znajdujemy rodzynki, które gryzła przy robocie, obok małego podręcznego lusterka i grzebyka z kości słoniowej.

Była bardzo staranna w ubiorze. Bielizna jest cienka, śliczna, haftowana i inkrustowana koronkami w żółtawym tonie kości słoniowej i znaczne jej znakami. W szeregu kuferek bardzo ozdobnych, wysadzanych perłową macią i kością słoniową, znajdujemy starannie ułożone osobno paski, peniuary, obrusy, serwetki i t. d. Jest ich dwanaście.

Obok duża skrzynia z kunsztownie plecioną

peruką o setkach pukli. Na stoliku toaletowym alabastrowe karafeczki, pudełka do pudru z onyksu, flakony do perfum z kryształu i srebra, pendzelki do brwi o rączkach ozdobnie rzeźbionych — wszystkie te drobne przedmioty, ślicznie i delikatnie obrobione, świadczą o wysokich wymaganiach estetycznych i dużej zamożności.

Równie wykończone, równie ozdobne są przybory stołowe. Niema tu ani jednego sprzętu, któryby raził oko, któryby odbijał od ogólnej harmonii. Piękne są też meble z drzewa inkrustowanego, pokryte skórą lub trzcina plecioną. Wogóle grobowiec mówi nam o wysokiej kulturze artystycznej Egiptu przed czterema tysiącami lat.

Mówi nam jeszcze o czemś więcej — o miłości, jaka łączyła małżonków. Inżynier podróżował dużo, a towarzyszyła mu żona, o czem świadczy rodzaj dery podróżnej z przyszytymi torbami, w których są przybory toaletowe kobiece. Widać, że on umarł później, tyle tu znać dbałości i troskliwości o wygodę ukochanej. Dla oblubieńców w grobie przygotowano dwa łoża. Obok — zydełki zamiast poduszek. Jej zydełek otoczony jest pasieczkami, aby nie uraziła głowy o twarde drzewo. Na łożach najcieńsze prześcieradła, najbardziej bogato haftowane kołdry.

* * *

...Nad równiną tebańską krwawo zachodzi słońce, rzucając fioletowe blaski na piaski pustynne. Zbliża się godzina powrotu inżyniera. Pani *Mirit* zajrzała w lusterko, poprawiła sobie pendzelkiem brwi, zawołała niewolnicę, pytając, czy gotów jest jej wieniec z kwiatów. Oto zbliżają się dobrze znane kroki. Oblubienica ubrała się w kwiaty i zawisała na szyi spracowanego męża. W surowych jego oczach zapalił się błysk miłości...

...Idylla z przed czterech tysięcy lat, którą my dziś możemy sobie wyobrazić przez pryzmat śmierci...



Na tamten brzeg. Umarli jadą...

WOŁAJĄ MOI...

Wołają moi, wołają rozgłośnie,
 Że w głębiach nocy pęk światła zakwita,
 Że już płyniemy ku zorzy, ku wiosnie,
 Że noc już mija, że świta, że świta!...
 Darmo wołacie tak szczęście, radośnie!
 Jeszcze noc długa i mgłami spowita...
 Nie będzie świtu! noc będzie bez końca,
 Gdy w duszach naszych nie zatlimy słońca!

T. LISIEWICZ.

Z pod pióra.

GABRYELA ZAPOLSKA.

— A więc co się tyczy powieści?
— Przedewszystkiem, wykończyłam utwór p. t. „O czem się nie mówi“, który niebawem ukaże się w druku. Pracowałam nad nim z całym zamiłowaniem, bo był to „luks“ w mym zawodzie. Pisałam odrazu *na księżkę*, nie krępując się względami, obowiązującymi w razie pisania dla pisma, które „każdemu wpada w rękę“.

— Znam rzecz tę z rękopisu. Przedmiot śmiały, a wykonanie celne. Psychologia dziewczyny upadłej i psychologia mężczyzny-samca. Koronkowa robota. Powieść smutna i ciemna, jak życie. A dalsze zamiary?

— Mimo złego stanu zdrowia, nie chcę ustawać w pracy. Dopiero co wykończyłam „Szateństwo“, a druga część tej powieści, cała z nerwów złożona, sporo mi nerwów zjadła. Z wiosennym słońcem zabieram się do dawno obmyślanej i przemyślanej powieści p. t.: „Kobieta bez skazy“. Typ flirciarzy *zawodowcy* nie jest u nas wyzyskany. Może być ciekawy. Teraz właśnie zaczynam, a pragnę skończyć na jesieni. Dla kogo przeznaczam tę powieść, nie wiem jeszcze.

— A projekty sceniczne?

— Miałam je przed rokiem i były na pierwszym planie. Kocham bowiem przedewszystkiem pracę dla sceny, i do niedawna zdawało mi się, że jeszcze coś dla niej zrobić mogę. Więc—chciałam wydać „Hesię Dulską za męża“, bo takie wydawanie w tem *milieu* jest połączone z bardzo ciekawymi epizodami i krecią robotą. Dalej miałam na myśli sztukę p. t. „Sielskie-anielskie“, nawet pierwszy akt mam już gotowy. Ale jestem bardzo wrażliwa i więcej, niż ktokolwiek, odczuwam dużo i ciężko.

— A praca publicystyczna?

— Piszę co tydzień artykuł do *Słowa polskiego* p. t. „Na czasie“—i proszę mi wierzyć, iż przygotowuję się do niego sumiennie, co mi zabiera sporo czasu. Cenię bowiem wysoko pracę dziennikarską i nie umiem jej lekko traktować. Tyle narazie o moich pracach dzisiejszych i zamiarach na jutro. Staram się całą siłą woli, by stan zdrowia nie wpłynął na moją pracę i, jak dotąd, co sobie „zapropnowałam“, zdołałam zawsze wykonać“.

PRZEGLĄD PRASY.

Ostatni, wogóle zajmujący bardzo zeszyt *Przeglądu Narodowego* przynosi nam początek kapitalnej pracy p. J. K. Kochanowskiego: „Dziejopisarstwo polskie w latach 1903—1907“. Autor z iście benedyktyńską cierpliwością i pracowitością zestawiał nasz czteroletni dorobek historyczny, opatrząc każdą pracę związłymi uwagami krytycznymi w kilku słowach albo wierszach. Zasłużony redaktor *Przeglądu Historycznego* zamieszcza na wstępie uwagę ogólną, że nasze dziejopisarstwo kroczy ciągle szlakiem raczej monograficznym, niż w kierunku syntez ogólniejszych, hołdując zasadzie, niegdys słusznej, dziś już przestarzałej, że prawdziwy „historyk“, nie „dyletant“, lękać się powinien ślizkiej drogi uogólnień, trzymając się twardego gruntu źródeł. Zasada ta—mówi p. Kochanowski:



W CUKIERNI.

Rys. Fr. Kostrzewski.

— Patrz, Ziuta... to jakiś bandyta idzie?
— Ale gdzież tam!... bandytę przecież byłoby stać na lepszą garderobę.

„kryła w sobie błąd zapomnienia o prawdziwie tak prostej, jak ta, że: 1) żadna doba, ani żaden poziom naukowy nie są w stanie rozstrzygnąć żadnego dylematu w sposób absolutnie ostateczny i 2) każda doba i każde pokolenie łaknie oświelenia i wyjaśnienia pod własnym, współczesnym sobie kątem widzenia tych pytań, jakie im się cisną na myśl w stosunku do danych zjawisk.“

Na zaznaczenie zasługuje jeszcze artykuł p. Zygmunta Balickiego: „Dzieje grzechu duszy socjalistycznej“. Autor z powodu ostatnich procesów krakowskich i sprawy Azefa usiłuje zdać sobie sprawę z psychologii przełomów w duszy socjalisty, które przekształcają go na bandytę, kata, lub szpiega, i widzi ich podstawę w nihilizmie moralnym, w niszczeniu wszelkich podstaw, które cechuje cały kierunek.

Pokłosie wydawnicze.

Julian Klaczko. „Wieczory Florenckie“ w przekładzie Stanisława Tarnowskiego Wydanie czwarte. Nakład księgarni Ferd. Hoesicka.

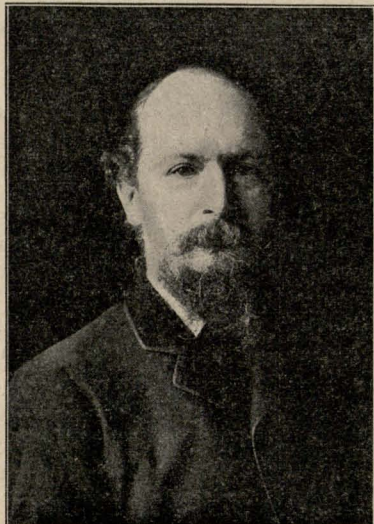
Spędzić kilka wieczorów w towarzystwie największych duchów, jakiegokolwiek i kiedygokolwiek wydała umysłowość ludzka, Dantego i Michała Anioła, zwłaszcza, jeżeli przewodnikami dla wniknięcia w głębie owych duchów są tacy wyjątkowo utalentowani twórcy i pisarze, jak Klaczko i jego tłumacz, Tarnowski, należy niewątpliwie do największych rozkoszy estetycznych myślącego i czującego czytelnika. Ocenia też należy wartość dzieła Klaczki nasza czytająca publiczność, jeżeli zaszła potrzeba czterokrotnego jego wydania. Wydanie też ostatnie, uskutecznione z pietyzmem i wprowadzeniem poprawek do poprzednich, śmiało może wytrzymać porównanie z najwytworniejszymi drukami europejskimi. Zdobi je piękna sylwetka Klaczki, ołówka W. Steinhauera, przechowywana w zbiorze Akademii Umiejętności. Nakładca, znany pisarz i księgarz, Ferdynand Hoesick, który już wiele uczynił dla uczczenia pamięci wielkiego pisarza, pisząc o nim cenne studia i odnajdując nieznanne dotąd jego utwory, wytwornym wydaniem *Wieczorów Florenckich* zasłużył sobie na szczerze uznanie miłośników pięknych księzek.

Adam Skalkowski. Przyczynek do korespondencji Napoleona I. Cesarz i Polska. (Supplément à la correspondance de Napoléon I. L'empereur et la Pologne). Paryż 1908.

Praca powyższa, wydana nakładem polskiego biura prasy w Paryżu, zawiera kilkanaście nieznanych listów i odezwo Napoleona, dotyczących sprawy polskiej w okresie 1798—1813. Do ważniejszych dokumentów należą dekrety o formowaniu legionów polskich pod wodzą Dąbrowskiego, oraz mowy, mianę przez cesarza do deputacji polskich, W pierwszej, z 3 sierpnia 1809 r., oświadczył Napoleon, że narazie wojna Francji z Rosją nie przyniesie Polsce spodziewanych rezultatów, gdyż Rosja jest dostatecznie silna, aby utrzymać posiadłości polskie, a przytem korzyści z tej wojny dla Francji byłoby drugorzędne. Druga przemowa Napoleona, z 28 października 1813 r., była skierowana do oficerów polskich, zawiera ogólnikowe tylko zapewnienia i obietnice. Ostatni z ogłoszonych przez p. S. dokumentów dotyczy reorganizacji wojska polskiego w końcu 1813 r. W starannie opracowanej przedmowie rzuciona została ciekawa światłość na stosunek Napoleona do Polski.

Śmierć poety.

Algernon Charles Swinburne, poeta angielski, urodzony w Londynie w roku 1837, syn admirała, wychowanie uniwersytetu w Oksfordzie, autor licznych dramatów i tragedji („Atalanta w Kalydonie“, „Marya Stuart“, „Marino Falieri“, „Lokrienne“, „Siostry“ i inne), a także pięknych utworów lirycznych, które zjednały mu sławę wszechświatową, zmarł w drugi dzień świąt Wielkiej Nocy. Na polski tłumaczyli Swinburne'a Kasprowicz,



Lange i inni. W najbliższym numerze *Tygodnika* damy obszerną sylwetkę zmarłego poety.

Wystawa etnograficzna.

We Lwowie zamierzone zostało urządzenie wystawy etnograficznej, która ma objąć działy następujące: 1) ogólny (mapy, bibliografia i t. d.). 2) Typy i ubiory. 3) Budownictwo. 4) Jak się lud żywi? 5) Stosunki ekonomiczne. 6) Kultura i oświata ludu. 7) Sprzęty i zdobnictwo. 8) Przemysł artystyczny. 9) Samopomoc społeczna. Na czele komitetu stoi prof. dr. Benedykt Dybowski; wiceprezesami są: dr. Tadeusz Rutowski, dr. Aleksander Lisiewicz, oraz pani Helena Dąbcańska-Budzynowska. Wystawa ta zainteresować powinna w wszystkich, którzy uznają doniosłość pracy z ludem i dla ludu, a w przyszłości stanie się ośrodkiem i zawiązkiem stałego muzeum etnograficznego, którego brak we Lwowie bardzo odczuwać się daje.

Zniesienie ochrony nadzwyczajnej.

Ogłoszony w dniu 14 października r. z., zamiast stanu wojennego, stan ochrony nadzwyczajnej w Warszawie, w gub. warszawskiej i w w. gub. radomskiej został z kolei zniesiony 10 b. m. Rozporządzenie to pociąga za sobą dość znaczne zmiany na korzyść kraju i ludności. Ustaje np. prawo nakładania sekwestru i aresztu na majątki nieruchomości i ruchome; zakres kar administracyjnych zmniejsza się do 500 rb. grzywnien, oraz trzech miesięcy więzy. Wreszcie władze administracyjne tracą moc zawieszania wydawnictw periodycznych oraz zamykania zakładów naukowych.

ZE SZTUKI.

Komitet grupy artystów p. n. „Zero“ prosi nas o zaznaczenie, iż termin zgłaszania dzieł na II-gą wystawę „Zera“ upływa z dniem 15 kwietnia, ostateczny zaś termin nadsyłania dzieł—10 maja r. b. Zgłoszenia uprasza się nadsyłać pod adresem: Starowiślna 12 I p., Kraków—L. Kowalski, obrazy zaś do Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie.

Niedawno zawiązane w Zakopanem Towarzystwo „Sztuka podhalańska“, które postanowiło zająć się dalszym rozwojem zdobnictwa ludowego i przemysłu artystycznego na Podhalu, ogłasza konkurs na projekt zabawki, mającej wartość artystyczną, z terminem 31 maja r. b., oraz jedną nagrodą 100 koron. Projekty, które należy nadsyłać pod adresem wydziału Towarzystwa „Sztuka podhalańska“ w Zakopanem, będą demonstrowane na wystawie, którą Towarzystwo urządzi w lecie r. b., a która w rzucie retrospektywnym ma dać obraz rozwoju podhalańskiej sztuki ludowej we wszystkich jej przejawach od najdawniejszych czasów.

ZMARLI.

JAN JELEŃSKI, redaktor *Roli*, zmarł w Warszawie d. 12 b. m., w wieku lat 64. Urodzony w Łagiewnikach (pow. stopnicki), uczęszczał do gimnazjum w Kielcach, potem był urzędnikiem kolei Terespolskiej. Pisywał w *Przeglądzie Tygodniowym*, w *Wisku*, a w r. 1882 założył własny tygodnik, *Ro-*



le, redagowany w kierunku jaskrawo antysemitycznym i ultra-klerykalnym. Wydał osobno drukiem kilka prac, z których na wymienienie zasługują: „O samopomocy w kształceniu się“ (1873); „O skierowaniu Żydów ku pracy w rolnictwie“; „Nasz świat finansowy“ (1874); „Niemcy, Żydzi i my“ (1876); „Dworacy Żydów“ (1878); „Pomoc własna klas niezamożnych“ i t. d.

FERDYNAND WORONIECKI, znany w szerokiej kołach Warszawy zegarmistrz, od 44 lat właściciel składu zegarów i pracowni zegarmistrzowskiej, w tych dniach stał się ofiarą tragicznego



wypadku. W drodze z Warszawy do Pruszkowa spadł z pomostu wagonu na plant i poniósł śmierć na miejscu. Zmarły liczył 73 lata; cieszył się powszechnym szacunkiem, jako człowiek prawy i w zawodzie swoim doskonale wykwalifikowany.

OD ADMINISTRACYI.

Z powodu nadspodziewanie licznych zażądań dzieł dla prenumeratorów „Tygodnika“ zniżonych i w skutek tego wyczerpania pewnych tomów, zmuszeni jesteśmy dzieła wy-czerpane zastąpić innemi, o czem Szanownych Prenumeratorów niniejszym zawiadamiamy.

REKLAMY

MEBLE STYLowe M. KALMUS
MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 28-87.

Składy na Meble

„SYRENA“
Krak. Przedm. 38

WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR“ poleca:
Sole do kąpiei NAUHEIMSKICH z kwasem węglowym.
Sole do kąpiei BALSAMICZNYCH z kwasem węglowym.
Sole do kąpiei JODOWO BROMOWYCH z kw. węgl.
Sole do kąpiei SIARCZANYCH z kwasem węglowym.
Sole do kąpiei ŻELAZISTYCH z kwasem węglowym.

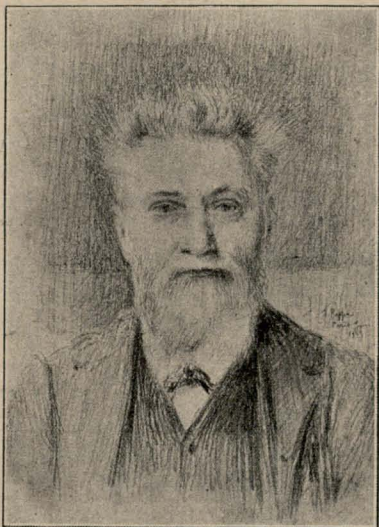
LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.
„ENGLISH CLOTHING HOUSE“.

BOLESŁAW MIKULSKI:

OKULTYZM.

2)

Poglądy, oparte na neoplatonizmie, kabbale i gnozie, zbyt pachniały stosem, by je wyznawać jawnie, więc okultyści ówczesni: Reuchlin (1455—1522), Jan Pik Mirandula (1463—1494), Agrippa (1486—1535), Paracels (1493—1541), Cardan (1501—1576), Postel (1510—1581), Robert Fludd (1574—1637), dają swym dziełom szatę pełną przenośni i symbolów, aby przed czujnym okiem inkwizycji ukryć ich sens właściwy, co się nie zawsze udawało. Natomiast w stosunku do nowoczesnych



H. Durville, redaktor „Journal de magnétisme“.

bibliografów i encyklopedystów system ten jest, z nielicznymi wyjątkami, niezawodny.

Później zjawiają się: VanHelmont ojciec (1577—1674), Angelius Silezius (1624—1677), Poiret (1646—1719), wreszcie Swedenborg (1688—1777).

Od tego ostatniego pochodzą wszystkie stowarzyszenia okultystów i illuministów XVIII i XIX wieku.

On natchnął Martines-Pascalisa (1715—1799), Klaudyusza de Saint-Martin'a (1743—1803), Lavatera'a, po których sukcesy duchową otrzymują Wronski, Elifas Levi, Ludwik Lucas, Henryk Delaage, bar. du Potet i okultyści współcześni. Około 1850 roku zjawia się spirytyzm, importowany z Ameryki. W tym czasie zwolennicy Swedenborga i towarzystwa Róży-Krzyża, założonego przez Elifasa Levi, nielicznych zdobywają adeptów. Martyniści węgają w zapomnieniu.

Szybki rozwój praktycznego spirytyzmu zmusza związki okultystów do podjęcia zważszej propagandy celem zwalczania niebezpieczeństw nie kontrolowanego mistycyzmu. Delaage, Levi, Fauvety wydają poważne dzieła okultystyczne.

Około 1875 przybywa również z Ameryki nowy kierunek okultystyczny, stworzony przez Bławatską i zorganizowany p. n. *Towarzystwa Teozoficznego* z siedzibą w Nowym Yorku, a następnie w Adyar, w Indyach Wschodnich. Dzięki temu Towarzystwu w ciągu kilku lat wchodzi w modę buddyzm i braminizm.

Naturalnie Paryż, najwszechstronniej odzwierciedlający życie umysłowe rasy białej, skupia też w sobie wszystkie dążności i kierunki odradzającego się spirytualizmu, jak przystało na „Bar-Isis” (Łódź Izdy). W 1884 r. powstaje w Paryżu pierwsza loża teozoficzna. Spirytyści, swedenborgiści, martyniści zapełniają salony księżnej de Pomar, która obejmuje kierownictwo loży. Teozofowie zamierzali już objąć zwierzchnictwo nad wszystkimi stowarzyszeniami mistyków, gdy napotkali na opór ze strony grupy młodych okultystów, zrzeszonych przez Stanisława de Guaita w towarzystwo *Rose+Croix*, którego najwyższą radę, prócz wyżej wymienionego, jako wielkiego Mistrza, stanowili Albert Jounet, J. Péladan, Papus, Bartel, oraz ksiądz katolicki, znany pod pseudonimem d'Alta. Ze swej strony René Caillé zakłada *Revue des Hautes-Études*. W tymże czasie Papus (Dr. Gérard Encausse) przystępuje do reorganizacji *Ordre martiniste*, grupując siły indywidualne, już poprzednio skupione przy miesięczniku *Lotus*, redagowanym przez F. K. Gaboriau.

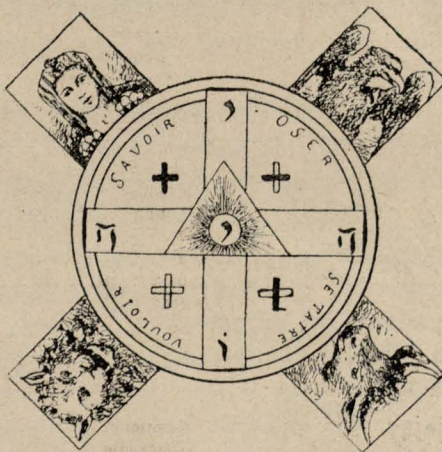
Pierwsze loże martynistów, oparte na rytuale, odnalezionym wśród rękopisów dawnego Zakonu w Lugdunie, zaczęły funkcjonować około 1899 pod egidą okultysty Poirel'a. W tymże roku powstaje *Groupe Independant d'Études Ésotériques* dla celów magii doświadczalnej i ceremonialnej. Jednocześnie Papus zakłada miesięcznik *l'Initiation* i tygodnik *Voile d'Isis*, które w chwili obecnej najdokładniej odzwierciedlają myśl okultystyczną. „Ordre Martiniste” szybko rozpowszechnił się po Europie i Ameryce, posiadając nieomal wszędzie delegatów głównych i specjalnych Wyższej Rady paryskiej. W 1899 r. powstaje założona przez Papusa *École Supérieure Libre des Sciences Hermétiques*, mieszcząca się obecnie w skromnym lokalu loży martynistów „Hermanubis” przy rue Séguier Nr. 13 i mająca na celu wykształcenie krytyków i badaczy okultyzmu. Skromny wpis, wynoszący 2 frs. miesięcznie, daje prawo uczęszczania na wykłady: magnetyzmu, astrologii, alchemii, historii hermetyzmu, medycyny hermetycznej i ezoteryzmu w Piśmie św.

Szkoła udziela nawet dyplomów „ad honorem”: *docteur en hermétisme* po przedstawieniu pracy pisemnej i *docteur en cabbale*,—po złożeniu dodatkowego egzaminu ustnego.

Prócz kierunku, odświeżonego przez D-ra Papusa, autora licznych dzieł, tworzących prawdziwą encyklopedję okultyzmu, istnieje w Paryżu wiele innych grup i szkół, opartych na różnych tradycjach. Teozofowie, coraz mniej liczni, mają swą *Revue théosophique*, redagowaną przez D-ra Pascal'a; gnostycy, zrzeszeni w *Eglise gnostique de France*, mają organ *La Voie*; alchemicy pod przewodnictwem Jollivet-Castellot'a wydają *Hyperchimie*; liczne koła spirytystów grupują się przy *Revue Spirite*, założonej przez słynnego Allankardec'a i redagowanej obecnie przez G. Delanne'a; magnetyzerowie, zjednoczeni w *Société Magnétique de France*, wydają *Journal du Magnétisme*, założony w 1845 r. przez bar. du Potet, a obecnie redagowany przez H. Durville'a, który prowadzi z rosnać powodziem szkołę, klinikę i księgarnię magnetyzmu (23, rue Saint-Merri).

Szkic ten byłby niezupełny, gdybyśmy nie wspomnieli o wykładach niedzielnych D-ra Rozier (Rue de Buci, 12), który swą rozległą wiedzą przyrodniczą uzasadnia doktryny okultyzmu, opartego na tradycji zachodniej, t. j. chrześcijańskiej.

Jednym słowem, ruch spirytualistyczny, będący zbawienną i nieuchronną reakcją przeciwko



Znak okultystów współczesnych.

wszechwładnie panującemu materializmowi, zatacza coraz szersze kręgi nie tylko we Francji, ale i na całym Zachodzie. O jego rozroście świadczy nie tylko szybko wzrastająca liczba towarzystw i grup spirytualistycznych, lecz także i niezwykły wzrost piśmiennictwa. W samym Paryżu wychodzi przeszło 20 czasopism okultystycznych różnych odcieni (niektóre biją po kilkanaście tysięcy egzemplarzy), a ruch książkowo-wydawniczy jest poprostu ogromny (nawet wydań luksusowych).

Polska, jak zwykle, spóźniona, zdystansowana została i w tym kierunku już nie tylko przez

Rosję, ale nawet przez małe Czechy. W Warszawie, pomimo rosnaćego szybko zainteresowania się kwestiami spirytualizmu, odosobny ruch wydawniczy poprostu nie istnieje. Okultyzm jest reprezentowany u nas jedynie przez wróżki i kabalarki (od których zresztą i w Paryżu roi się), podczas gdy jego filozoficzne podstawy, znane niewielu luźnym badaczom i amatorom naszym, nie znajdują wcale drukowanego echa. W tym odradzającym się kierunku myśli ludzkiej znajdzie dziejopis i badacz starożytności liczne materiały i dokumenty dla oświetlenia dziejów z nowej, mało znanej strony, artysta—nieocenione skarby natchnienia i syntezy, a wielu, być może więcej, niż



G. Delanne, redaktor „Revue Spirite“.

przypuszczamy, czytelników znajdzie przeświadczenie, że nie tylko „tu” wszystko się nie kończy, ale ledwie się poczyną, a przeświadczenie takie to spokój duszy, którego człowiek znów poszukując zaczyna, bo mu go dzisiejsza wiedza urzędowa nie dała i dać nie może.

Paryż w marcu 1909 r.

LUDOMIR MICHAŁ ROGOWSKI:

SCHERZO.

Noc burzliwa nad światem szalała;
Rozruciła ciemnie swej opończy—
Orgią śmiechu roziskrzy się cała,
I znów mroki;—szał—śmiej—jękiem kończy.

W noc szaloną, w klasztornej ruinie
Pakt czyniłem z ponurym szatanem:
„Ja podpisem krwawym stwierdzam ninie,
Jako spełnię, co spełnić jest danem”.

W noc szaloną radosny wracałem,
W śmiechu chytrym ma dusza się miota—
Siabość moją z bezsilnym zapałem

Wymieniłem na pełnię żywota.
Chciał oszukać mię szatan daremnie,
Gdyż przepomniał śmierć zabrać ode mnie!

ALCHEMIK.

Półmrok; olbrzymia gotycka komnata.
Z kąta purpura bije o sklepienia,
Poświata z pieca; cicho, jak marzenia,
Z tygli i retort dym zwiewny ulata.

Przyodzian w miękkie draperye półmroku,
Współpochylony, z natężeniem śledzi
Mysterium mędrzec; mocne, niby w miedzi
Kowane czoło pochylił; błysk w oku—

Patrzy i bada. Dal nie do przebycia
Porywa myśli, oko rozpłomienia.
Zdarł najtajniejszą z zasłon praistnienia:

Stworzył z martwego kruszcu ziarno życia.
Ażeby zbudzić w niem życiowe tchnienie,
Śmiercią zapłodnił,—włań jadu płomienie.

Jednak oddalał się w kierunku niepożądanym dla myśliwych. Wkrótce też powstał ruch ludzi po lesie. Pierwszy, śmigając chodakami po wrzosie, sprężynowym krokiem przyszlapał na stanowisko Kazimierza stary Jurko Lejtan, stanął na chwilę, cały zgięty w znak zapytania, przechylił kwaśno zziąjaną gębę ku młodemu myśliwemu, wskazał lufą wawóz i zapytał tylko:

— Tu, panie?

Otrzymałszy potwierdzenie, ruszył dalej, niezmordowany, za swoim psim obowiązkiem.

Kazimierz stał teraz ze strzelbą w pogotowiu, pod drzewem, a Krystyna, niby ukryta, za drugim. Ale wiedzieli oboje, że to już na nic, i spoglądali raz po raz ku sobie ośmielonemi oczyma. Tylko do wzruszeń uprzednich przybywała i zabawna emocja.

— Teraz łajac nas będą porządnie za puszczenie lisa—mówiła Krystyna, wstrząsając ramiona wesołym dreszczem.

— Jeżeli panią to nie boli, ja wytrzymam despekt—odrzekł Kazimierz, błyskając zębami.

— Lis nas nie zdradził, a pies zdradził. Żeby nie ta czarna suka, wszystkoby się ukryło.

— To, co się wyjawia, niech sobie wezmą na języki. Reszta nasza. Prawda, pani?

— Nasza—powtórzyła poważnie Krystyna.

Zbliżał się Miś Zasławski, ze strzelbą przez plecy, z rękoma w kieszeniach i z miną jakąś niezadowoloną.

— Gdziez lis? Stąd go przecie ruszyły. Musieliście go widzieć?

— Czekałem, aż pójdzie wpław, jak kazałeś. Ale poszedł w wawóz, więc nie strzeliłem—odpowiedział, śmiejąc się, Kazimierz.

— Nie, tak już znowu nie można. Albo polować, albo romansować.

— Drwiłeś ze mnie, pozwól drwić i z siebie—rzekł Kazimierz, patrząc jasno, ale stanowczo w oczy Zasławskiemu.

Odezwała się szybko Krystyna:

— Ja prosiłam, żeby nie strzelać. To był taki mały lisek.

— A! to co innego. Jesteś w swoim lesie.

Uklonił się bardzo ozdobnie i odszedł krokiem książęcym.

Ściągali powoli myśliwi nad jeziorko „pod Sidorkiewiczem”. Gon przepadał, przepadał, aż urwał się zupełnie. Wkrótce też odezwała się trąbka, odwołująca psy. Jurko nie zaszedł, widać, daleko za psami, bo już był z powrotem przy jeziorku i palił fajkę. Włokły się za nim trzy psiska, srodze zziąjane, z ozorami na bok przerzuconymi. Jurko miał w imieniu psów przemowę do myśliwych:

— Wiadomo, pogoda piękna, ale gorąca, panieńku ty mój. Po suchem wiatr chwycić trudno. Ot, kiedy porosza, albo

taki—taki kapuśniaczek jesienny, tak tedy już bie—da!

— Niema co psów tłumaczyć, dziarsko pierwszego lisa trzymały—rzekł Assernhof.

— I potzymają jeszcze—tokował niezmordowany Jurko.—Ot teraz przekąsicie panowie, dacie i staremu poniuchać gorzałki, a potem ja wezmę jedną sforę i od łąk zajmę, a Matyszkiewicz od pierwszych jam, gdzie staliśmy. A chcecie panowie doczekać wieczora, kiedy chłodek padnie...

— Nie, nie, panie Lejtanie—zaprotestował Apolinary Budzisz—mieliśmy satysfakcję królewską, psy grały, jak Mozart z Beethovenem, dobrodzieju mój, las, panie, jak lansaft, lisa mamy, pan Gotard jest niezaprzezonym królem polowania—trzeba do domu, żeby wieczorem jeszcze coś ze spraw poważniejszych poruszyć. A teraz tylko podziękować młodemu wodzom wyprawy, książętom Zasławskim, za uprzejme i umiejętne ich trudy, które oby były symbolem, że tak rzekę, przyszłych ich trudów obywatelskich.

— No, w twoje ręce, panie Apolinary—rzekł Gotard, strzygąc okiem i nalewając czarke z manierki.

Pan Apolinary wypił, uściśnął Misia i Bena i szukał, komuby tu jeszcze powiedzieć coś od serca. Nastręczył mu sposobność pan Gotard:

— Toż palnij już *orationem obliquam* i do właścicielki lasu, która tu przyjechała we własnej ślicznej osobie nas podejmować.

Pan Apolinary nie przemówił dotąd ani słowa do pani Krystyny. Zatoczył teraz zdziwionemi oczyma i ujrzał ją, jakby zziębniętą pomimo upału, przypatrującą mu się ciekawie.

— Nie wiedziałem, jak mi Bóg miły! Toć dlatego na skinienie Dyany litewskiej wszystkie lisy meldują się do niej po rozkazy.

— A ona je rozsyła wybranym swoim, jako podarunki, nie racząc napiąć łuku na zdobycz tak mizerną—podchwycił Gotard.

— Chciałem powiedzieć—ciągnął dalej Apolinary.—Więc... spełniam kielich za władzę piękności, która okazuje swą moc nawet na tworach leśnych.

— Dajcie jej już pokój, ona tego nie lubi—mruknął z wysokości Hieronim Budzisz, nachylając się między głowy Apolinarego i Gotarda.

— Krzywdy jej przecie nie czynimy—odszeptał Assernhof—kochamy się w niej i my, Hieronimie, ale beznadziejnie, braciszku!

Hieronim pokiwał głową bez odpowiedzi.

A Zasławscy, oddalając się nieco od grupy, drąc młodymi zębami chleb z wędliną, tak się między sobą porozumieli:

— Dobry stary ten gruby—rzekł Beno.

— A lepszy, niż Kazimierz. To taki warszawski frant—rzekł Miś.

— I do Krysi się bierze. Ot patrzaj, ciągle tam z sobą, jakby znali się.

— Jemu wara od Krysi. Krysia nasza.

Nie podejrzewając tak blizkiego spisku, Krystyna rzeczywiście mówiła cicho do Kazimierza, patrząc mu w oczy, jakby jeszcze sami byli na polance:

— Zaproszę do swego powoziku wuja pana. Czy tak dobrze będzie?

— Dobrze będzie—rzekł Kazimierz, wdzięcznym sercem przyjmując tę intencję.

X.

Regularne obrady ziemian w Rarogach zostały zamknięte wieczorem w dniu polowania. Niektórzy uczestnicy, między nimi Wiliaszewowie i Kozłowie, już odjechali. Ale Apolinary Budzisz pragnął koniecznie raz jeszcze zgromadzić koło ziemiańskie dla narady w kwestjach ogólniejszych i zasadniczych. Napomknął o tem Chmarze, lecz Chmara wykręcał się. Panu Apolinaremu przyszło do głowy użyć pośrednictwa Fedkowicza, jako krewnego Chmary. Pan Litawor, ruchliwy i uprzejmy, zaraz wziął się do tej misji.

— Proszą goście nasi z Polski, żebyś nas raz jeszcze zebrał pod swoją prezydencją, Eustachy, dla narady o jakichś wspólnych sprawach, które chce przedstawić ten starszy, Budzisz.

— Ja na to pozwolić nie mogę—odrzekł Chmara.—Jakżeż to? wyprawiliśmy naszych sąsiadów Rosyan, a teraz urządzamy naradę polityczną, i to *wspólną*, jak oni chcą! Tożby wyglądało na spisek! w moim domu.

— At, cóż on powiedzieć może, taki Apolinary Budzisz? To, co i z gazet warszawskich znamy. A zawsze byłoby uprzejmie.

— Precedens zły. Nasze zebrania są ściśle miejscowe i do żadnej „wielkiej” polityki nie mieszamy się. Ja muszę się liczyć z moim stanowiskiem.

— Właśnie. Żeby u Hylzena coś takiego urządzono, albo u Budzisz w Wiszulanach, mogłaby być bieda. Ale u ciebie, Eustachy! Wszak ty, jak minister u nas—tobie wolno.

— Tem bardziej. Nie chcę brać odpowiedzialności za to, co oni tu mogą powiedzieć. Jeszcze do gazet podać gotowi zacytowaniem mojego domu.

— To można zastrzedz.

— Jeszcze gorzej; wtedy nadalibyśmy naradzie formalny charakter spisku. Żadną miarą nie mogę się na to zgodzić. Wytłómacz im to, Litaworze.

Fedkowicz nie dał za wygrane, chciał bowiem zobowiązać koroniarzy i w celach praktycznych, i żeby okazać swój wpływ na Chmarę, i dlatego, że był z natury uparty. Więc poszukał księżnej Katarzyny Zasławskiej, która bawiła jeszcze w Rarogach.

GUSTAW DANIŁOWSKI:

Gołębie Świętego Dziecka.

Na tej zastygłej wyżynie, której nie dosięgał najprzeróżniejszy krzyk życia, ogarnęło ptaki mętne odurzenie, błogi smutek spokoju, słodkie marzenie o spoczynku-śmierci.

Wsunęły głowy zmęczone w puch miękkich skrzydeł, by usnąć na chwilę. Krótki był, jak mgnienie oka, ten zasen.

Zatrzepotał się jeden i zbudził wszystkie.

Był to sygnał, że czas każdemu wymienić najdonioślejszy czyn minionego stulecia.

Nastąpiło gorzkie milczenie: wszystko to, co w momencie działania wydawało się ważnym, zaprzętało mózg i wstrząsało serce, teraz, z odległości wyglądało nikle, niemal próżne, niegodne wspomnienia...

Dość długo trwało zakłopotanie, zanim się przewyciężył któryś i rzekł:

— Spotkałem marzyciela, tak zduszonego matnią życia, że głowę bezwładną zwiesił do ziemi, jakby upatrywał miejsca na spoczynek w mogile, spłoszyłem się mu z łoskotem z pod nóg i raz jeszcze porwałem za sobą jego oczy ku niebu i słońcu. Zapalił mu się wzrok, dźwignął się na duchu, otworzył światu na nowo zawściągnięte serce...

— I zdeptany zginął — przebrał głucho siedzący na uboczu najstarszy gołąb, a wydał się towarzyszom dzikim i jakby większym przez wzdęte piersi i zjeżone surowo pióra.

Po uciążliwej pauzie odezwał się drugi:

— Skatowane w szkole dziecko pragnąłem rozweselić, bujałem u jego okna, ważąc się i przewracając w locie, igrałem tak długo, aż wreszcie wydobyłem na jego blade wargi krótki uśmiech, jak lśnienie. Zatokowałem z radości... Chłopcu puściły się łzy.

— Gołąb grucha, jak chce — zaszlochał — i nikt go krakać nie zmuszał!

— Z pociechy wypadł mu smutek — zaturkotał ponuro najstarszy.

Sąsiad obejrzał się w popłochu, trzepnął się i zaczął z kolei:

— Dowiedziałem się, że ciężko pokrzywdzony człowiek przeciw bliźniemu knuje zły zamiar i szarpie się, jak uwikłany w gąszcz cierni, od mroku do świtu.

Załopotałem z całej mocy w szyby jego w ciemną noc, gdy słońce leżało w wodzie; struchlał, zadrżało w nim zabobonnie strwożone serce, obfitemi łzami spłynęło na wierzch w czeluściach gniewu zatrzaśnięte sumienie, darował krzywdę i zasnął spokojnie.

— Snem sprawiedliwego — dorzucił jąttrząco sprawca zamieszania i nagle, z rozpostartymi skrzydłami, nabrzmiałym czubem, wleciał w skupioną kołem gromadę:

— Nie zrobiłem nic, ale zyskałem wiele — mówił porywco.

— Odwiedzałem więźnia, młody był, pięk-

ny, jak cherubin, ognisty i mocny, marzył zbawić świat, jak nasz mistrz, tylko nie ofiarą, lecz walką. Błysk mych piór był najjaśniejszym blaskiem jego ciemnicy: w skrzydłach nosiłem mu wiatr z rozłogów ziemi, którą kochał miłością gwałtowną i czynną.

Polubił mnie, jako nowe zewnętrzne zjawisko, jedyne wrażenie życia wśród martwoty szarego kamienia, sztywnej kraty i monotonnego brzęku kajdan, których już nie słyszał.

By nie zapomnieć głosu, mówił do mnie:

pawa moje milczenie, mój mocny spokój ich przeraża, niezłomnością ich łamię.

Czemuś nie orzeł, zawarłbym z tobą braterskie przymierze.

Mej siły głos podbiłby twój donośny skwir, moj bunt w żelaznych szponach niezmiernego skrzydła jednym zamachem dźwignąłbyś na szczyty.

Zwołałbyś biały, dumny hufiec, by grozę szerzył i z góry bił.

Bić się i bić musi, kto chce zwyciężyć! zapamiętaj to, czuły ptaku!

— I zapamiętałem, towarzysze.

Czemu nas Stwórca orłami nie uczynił?! Oderwalibyśmy gwoździe jego krzyża, wyzwolilibyśmy więźnia, rozdarli krzywdzicieli, mijalibyśmy nad światem, jak wicher gwałtowny, nie rozpieszczą, lecz targać dusze.

Szpony nasze zryłyby pożądanym wyrazem oblicze świata, nie wzruszone naszą słabą dobrocią..

Urwał wzbudzony, zapalając pragnieniem potęgi resztę towarzyszy.

Rozpłomienione gołębie przybrały niezwykle postawy: rozciągnęły szeroko skrzydła, nastawiły czuby, pazurami różowych łapek wpiły się w mech skały i tak zamarły, bo oto roztopiła się w blade smugi zimna tarcza księżyca, rozplynęły się w jasne jeziora błyszczące gwiazdy, przeciągnął tajemniczy, mocny powiew, i w morzu falującej światłości jawił się im On, po stokroć zmordowane widmo.

Wplecione w gęstwiny cierni promienne włosy tonęły w złotym potoku; przesycone żółcią, ściągnięte usta drżały w twarzy, zoranej nieustanną męką, bladej i lśniącej, jak gips. W poszarpanej ranie boku i rozdartych gwoździami nogach i rękach pulsowała drobnymi wybuchami święta krew.

— Gołębie — westchnął, wyciągając niezgojone ręce, i ptaki, zleciawszy w złożone Jego dłonie,

jak w purpurowe gniazdo, tuliły się z kwilaniem przejmującym do jego rozłokanej piersi.

— Ptaki młodości mojej — szeptał wzruszony, wspomnienia naiwnych igraszek Nazaretu, tkliwe, białe niemowlęctwa marzenia, odpuszczam wam resztę trudu, który za nic macie, zostańcie jednak pamiętką tego, czem byłem, nim pierwsze ostrze myśli i sierp cierpienia skosiły wonny wirydarz mego dzieciństwa. Tkliwość, zbyt cenna żywym, złóżcie umarłym, płońcie, by zdobić posępną samotność i okrutne zapomnienie tych heroicznym mógł męczeństwa, których nikt nie wieńczy, tam czeka was spoczynek w kwiecie snu i Ja z mym cudem...

Roztworzył dłonie, tchnął, i ptaki, karminowe krwią Zbawiciela, leciały jeden za drugim, jak karmazynowe proporce, gnane wichurą, co huczała za nimi w ciemności.

Podniosły się porywco, łopocąc nad powalonym niemocą rycerzem Giewontu, zaświeciły żywą czerwienią w ślepe oczy odrzuconej w tył głowy kamiennej olbrzymi.

Zniżyły się i wzdłuż mętnej, spienionej rzeki pędziły bez tchu, tnąc rozgorzałą piersią parne powietrze. Minęły miasto, ponure mu-



Gołębie tuliły się do Jego piersi.

ST. BAGIEŃSKI

— Gołębiu, piękna jest twa białość i słodka niewinność, lecz stokroć świetniejszy przeróżliwy blask białego oręża, turkot wozów bojowych, pole bitwy w płomieniach.

Wiedz, by coś zdziałać, czegoś winnym być trzeba, mieć odwagę zawinić, by mężnie spełnić powinność.

Gołębiu, tkliwością nie podźwigniesz świata i nie uszczęśliwisz świata; ludzi trzeba zmuszać wspinać się na szczyble własnego szczęścia, do wyzwolenia ośmielać.

Najpocziwsi z natury są gnuśni, słabi i ulegli nikczemnym.

Nie łzawe bicie łagodnego serca, lecz ostra pobudka grozy wojennej, nie jedwabna ręka, lecz dłoń w skórzanej rękawicy, z którą się zrasta garda miecza, zrywa ludzkość ze zgnitych legowisk i na nogi stawia.

Święty jest burzycielski gniew, twórczą nieubłagana moc, zdobywczą wola, stąpająca nieugiętym krokiem podkowami z żelaza.

Patrz, czym ja więzień?! Jam pogromca mej straży, jam potęga, która narasta w ciemności, panujący w łańcuchach...

Ja śpię, oni czuwać muszą w trwodze, że się zbudzę; straszy ich mój sen, lękiem na-

ry i nad płaskim, zamkniętym placem strato-
wanej do tła ziemi zwinęły się kraśnym
wieńcem, rozpięzły i upadły z rozmachem,
jak stracone strzały.

Plac w mgnieniu oka zakwitł płomienny-
mi makami o liściach mięsistych, lepkich i wil-
gotnych i szeroko otwartych, pełnych krwi
kielichach.

Jeden z nich, największy zachwiał się
gwałtownie i, dygocąc całą łodygą, z szkarłat-
nego stawał się ponsowy, bo najwrażliwszą
nitką korzenia trafił w czarne, rozpuchłe usta
młodzieńca, co go w orła chciał zmienić.

H. SCHEFFAUER:

Zabójczy promień.

Halmar Logan, inżynier górniczy, pogrążony
we śnie głębokim, spoczywa na sofie w szcu-
płym pokoiku willi drewnianej, położonej na nagim
zboczu wzgórza w powiecie Tuolumne, stanie
Kalifornii.

Całą noc spędził w głębinach kopalni złota,
nie dziw więc, że teraz śpi snem kamiennym.

Na dworze upał podzwrotnikowy. Rolety
niebieskie spuszczone. W półmroku pokoiku sły-
chać brzęczenie much sennych. Niedaleko sofy
stoi stolik, a na nim widnieje kilka książek, lampa
i pudełko blaszane. W oknie wisi glob szklany,
napełniony wodą. Służył niegdyś za akwaryum
dla rybek złotych. Rybki jednak pozdychały.
Wisi więc bez nich.

Drzwi pokoju otwierają się zwolna. Wcho-
dzi mężczyzna krokiem cichym, ostrożnym.
Przez chwilę stanął nieruchomo, spoglądając ba-
dawczo na śpiącego, poczem rzuca okiem na
zegar i na glob szklany w oknie, zbliża się
do stolika i otwiera ostrożnie pudełko blaszane.
Pełne jest prochu brunatnego. Stawia je na
innym miejscu stolika, a następnie podnosi ro-
letę w oknie.

Promień słońca kalifornijskiego, gorący
i biały, przedziera się przez szkło i kładzie
plamą jasną na podłodze. Przybysz wychodzi
na palcach z pokoju i znika za drzwiami,
jak cień.

* * *

Godzina pierwsza po południu. Wirginia
Stanton, naręczona Logana, i Aleksander Bi-
shop, pomocnik jego, idą w kierunku domu in-
żyniera ścieżką, wiodącą przez wzgórza. Wir-
ginia spędza w towarzystwie ciotki lato w po-
blizkiem Kilmar's Gap.

Już tylko kilometr dzieli idących od willi
Halmar. Bishop zwalnia kroku, piękną za to
towarzyszkę jego niecierpliwą każda chwila zwłoki.
Bishop wyjmując z kieszonki od kamizelki
zegarek i rzuca nań okiem. W tej chwili daje
się uczuć lekkie wstrząśnienie ziemi, a w parę
sekund po nim rozlega się głuchy huk w po-
wietrzu.

— Znowu rozsadzają skały—odzywa się
Wirginia, podnosząc do góry paluszek ręki
w białej rękawiczce.—Ciekawa jestem—dodaje
po chwili—czy Halmar spodziewa się mnie dzi-
siaj. A pan był taki dobry, że przyszedł po mnie,
pomimo iż jesteście tak zajęci!

Weszli na szczyt wzgórza, z którego widać
już było małą willę Logana. Z piersi Wirginii
wyrwa się nagle okrzyk przeraźliwy. Towarzysz
jej zadrzał, ścisnął pięści i stanął, oddychając
ciężko.

Willi Logana znikła. Na miejscu jej wi-
dnieją drzazgi belek i desek, gdzieś tam zaś
unoszą się lekkie obłoczki dymu. W pobliżu ru-
mowiska gromadka górników gestykuluje żywo.

Wirginia rzuca się naprzód. Górniczy w cięż-

kich butach i czerwonych koszulach rozstępują
się zdziwieni przed białym zjawiskiem, milcząc
ponuro.

Na przewróconej i poszarpanej ścianie willi
leży postać ludzka, przykryta prześcieradłem zapla-
mionem. Z pod fałd jego zwisa ręka szczerbiata
i okrwawiona. Na jednym z palców jej połyskuje
piersińczonek z brylantem.

Dziewczę pada na kolana przy postaci nie-
ruchomej, chwytając zwisającą, szczerbiatą rękę w białe
rączki swoje, przytyka do ust i we łzach kąpie.

— Hally, Hally!—szepczą usta szlochające.

Opodal stoi Bishop nieruchomy, jak posąg,
z oczyma utkwionymi w ziemię.

* * *

Nikt z obecnych nie umie wytłómaczyć przy-
czyny wypadku, którego ofiarą padł Halmar Logan.
Wiadomo tylko, że wybuch straszny zniszczył wil-
lę, a jak szczątki rozrzucone wskazują, musiał na-
stąpić wewnątrz budynku. Nieboszczyk znany był,
jako rzeczoznawca w zakresie materiałów wybu-
chowych. Ostatni wynalazek jego stanowiła sub-
stancja o niezmiernie sile wybuchowej, ochrzczo-
na nazwą lewinitu. Jeden tylko Bishop, oprócz
Logana, znał tajemnicę nowego środka wybucho-
wego. Śnać nieostrożne obchodzenie się z nim
wywołało katastrofę.

* * *

Po pogrzebie Logana Wirginia powróciła
z ciotką do San Francisco. Towarzyszył im Bi-



Ustawiłem pudełko na miejscu właściwym.

shop i nie zajął już do kopalni.

Mijały miesiące za miesiącami. Ruda złota
„zaczęła wysychać”, jak wyrażali się górniczy. Co-
raz mniej pracowało przy niej ludzi. Wreszcie
wyczerpała się zupełnie. Stanął młyn do krusze-
nia rudy, reszta górników rozproszyła się, kopal-
nia, niegdyś tak ożywiona, zamieniła się w pustu-
kowie. Jedna tylko instytucja przeżyła jej upa-
dek, a mianowicie szynk „Pod Rudą Złotą”, zaspokajający
pragnienie woźniców karetek pocztowych
i pasterzy stad okolicznych.

Minęły lata od upadku kopalni, gdy wśród
bywalców szynku „Pod Rudą Złotą” rozeszła się
wieść o przybyciu na pustkowie człowieka obcego.

Chudy był, wynędzniały, o szpakowatych
włosach i brodzie, tudzież wejrzeniu bojaźliwym.

Z desek i belek, znalezionych na pustkowie, zbu-
dował chatkę i w niej zamieszkał. Z ludźmi spo-
tkany rozmawiał rzadko. Unikał ich nawet i błą-
kał się samotnie po okolicy, zbierając kwiaty, oraz
kamienie. W szynku „Pod Rudą Złotą” mówiono
o nim rozmaicie. Jedni twierdzili, że, zawiedziony
w miłości, skazał się na życie pustelnicze, zdała
od świata, inni zaś, że, doznawszy porażenia sło-
necznego w Meksyku, ma mózg nadwężony.

Pewnego dnia grudniowego, gdy pierwszy
śnieg okrył szczyty wzgórz, przybysz obcy nie
zjawił się w okolicy, i komin chaty jego nie dymił.
Dnia następnego dwóch pasterzy odważyło się
podejść do chaty samotnika i wnet przynieśli do
szynku wiadomość, że zastali go siedzącego w cha-
cie, przed stołem, bez życia.

Zawezwano koronera z miasteczka powiato-
wego, zebrano przysięgłych na miejscu i orzeczono,
że nieznamy zmarł na serce.

— Każdy, panowie przysięgli, kto posiada
taki odcień brunatny na wargach, cierpi na to—
zawyrokujeł urzędnik powiatowy.

Śród ruchomości zmarłego znajdowały się
dwa listy. Jeden z nich był zaadresowany: „Do
koronera powiatu Tuolumne”.

— Oto, panowie przysięgli, druga oznaka lu-
dzi, cierpiących na serce—odezwał się z namaszcze-
niem koroner—wiedzą zawsze, kiedy koniec ich
nadchodzi.

Rzekłszy to, dobył z koperty pomięty świ-
stek papieru, oddarty najwidoczniej z większej
kartki, i czytał:

„Istniały dla mnie tylko trzy osoby na świe-
cie: kobieta, którą kochałem, mężczyzna, którego
ona kochała, i ja. Ale w trójcy tej jedna oso-
ba była zbyteczna. Czuję, że, gdyby nie on,
to ona nie byłaby wzgardziła miłością moją.
Wiedziałem także, co za bogactwa osiągną mo-
że przez wynalazek lewinitu. Postanowiłem
tedy jednym zamachem śmiałym i bez skrupu-
łów pojąć kobietę, bez której żyć nie mo-
głem, i wyłączne prawo do bogactw, zapewnio-
nych przez wynalazek. Wypadkowo zauważy-
łem dnia pewnego, że glob szklany, zawieszony
w oknie willi, gdzie z nim mieszkaliśmy, sta-
nowi soczewkę silną, rzucającą na stół promień
słońca tak gorący, iż sparzył mi rękę, o stół opartą.

„Wyczyściłem glob i napełniłem go wo-
dą czystą, źródlaną. Stół ustawiłem na miejscu,
z góry obliczonem i oznaczonem ołówkiem na
podłodze, na blacie zaś zaznaczyłem drogę
promienia słonecznego, padającego przez so-
czewkę globu. Następnego dnia, gdy przyja-
ciel mój, a wówczas już tylko rywal, spał na
sofie po pracy nocnej w kopalni, wszedłem
do pokoju i ustawiłem pudełko, napełnione le-
winitem, na miejscu właściwym. Lewinit posi-
da tę własność, że wybuch pod wpływem
tylko gorąca. O godzinie dwunastej minut
pięćdziesiąt pięć ognisko promieni słonecznych,
przedzierających się przez glob szklany, prze-
jdzie punkcikiem palącym nad pudełkiem le-
winitu...

„Słońce zabiło go! Słońce i lewinit! Ale
ona odepchnęła rękę moją”...

— To wszystko—rzekł koroner, zwracając
się do obecnych—przyznacie, że waryat, waryat
skończony!

Na drugiej kopercie widniał napis: „Tajemni-
ca lewinitu. Proszę doręczyć spadkobiercom pan-
ny Wirginii Stanton z San Francisco”.

przeł. S. BARSZCZEWSKI.



Szanownych prenumeratorów
„Tygodnika Ilustrowanego” pro-
simy o wniesienie opłaty na kwar-
tał drugi roku bieżącego.

N A D E S Ł A N E .

11 medali, Dyplom honorowy 1908 r.
APTEKA E. GESSNERA

27. Jerozolimska 27
w Warszawie

Zamiast tranu
EMULSYA TRANOWA

z solami podfosforanu sodu i wapnia.
Zalecana w chorobach płuc, skrofutach,
chorobie angielskiej i innych.

MEBLE
ZAŁĘSKI i S-ka
Warszawa, Erywańska Nr 2,
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.

STANISŁAW KRAUSE i S^{KA}
FABRYKA I MAGAZYN
WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY
Warszawa, Królewska № 1 (róg Krakowsk.-Przedm.)
JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.



 **BIELIZNĘ MĘSKĄ**
białą i kolorową z c. k. nadw. fabr.
V. Suppaucic, poleca
ZDZISŁAW ZDANOWICZ
W KRAKOWIE, ULICA SŁAWKOWSKA I. 3.

KALODONT
Niezbędny krem do zębów
Utrzymuje zęby biało, czysto i zdrowo.
Żądać wszędzie

PASTILLES
DE
**TAMAR
INDIEN
GRILLON**
PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.
We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający
PRZECIW
OBSTRUKCYI

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem



MYDŁO Z MLEKA LILIOWEGO „KONIK”
BERGMANN i S^{KA}, RADEBEUL - DREZNO
daje rumiany, młodzieńczo-swieży wygląd,
czystą, białą, miękką jak jedwab skórę
oraz delikatną, oślepiająco piękną cerę.
Po 50 kop. dostać można wędzie.
Główny skład na Państwo Rosyjskie:
BIURO CHEMICZNYCH PREPARATÓW
ST - PETERSBURG, Newski 28, dom Singera.



Zdrowie mieli i szczęśliwi byli pradziadowie nasi, kiedy pili stary sło-
wiański trunk

MIÓD
Olbrymie zapasy starych miódów w 1-ej chrześcijańskiej fabryce miódów
W. WYSOCKIEGO
w Warszawie, ul. Podwale Nr 25.

Dostać można: Warszawa, **Wysocki** Podwale Nr 25, Handel Win, Mazowiecka Nr 3 i we wszystkich znaczniejszych handlach i restauracjach Warszawy i Królestwa. **Petersburg:** Sienkiewicz, Czernyszew.-Pereułok Nr 14, Milwid, Mikołajewska Nr 31; Kuźmin, Kazańska Nr 20. **Wilno:** Stempkowski, Rymkiewicz, Grużewski, Dawidowski, Veritas. **Kijów:** Paszkow i Synowie. **Brjańsk:** Grabowski. **Ryga:** Rathel. **Odessa:** Bratkowski, Kobleńska Nr 40; Witanowski, Ryszałewska Nr 19; Tomaszewski, Sadowa Nr 16. **Charków:** Jampolski. **Moskwa:** Pawłowski, Dołgorukowskaja. **Ekaterynostaw:** Bobowicz; Dzygit; Zaporoczew i t. d.

GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY
D-ra **ROBERTA BERNHARDTA**
ordynatora szpitala św. Łazarza
WARSZAWA, FOKSAL 15. TELEFON 14.54.
Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Rentina, Finsen-Kromayer'a, Radium i elektrolizą, Arsonizacja. Choroby weneryczne.

MAGAZYN KRAWIECKI
SZWAŁBE SACHS^{KA}
ANGIELSKIE PALTA; GARNITURY
GOTOWE I NA OBSTALUNEK
SENATORSKA 8. TELEFON 67.17

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja
Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłodna Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.

MYDŁO LANOLINOWE
N^o 337
PERFUMERYI IRIS
H. LACHS i S^{KA}
WYBOROWE

C. Skoryna
Warszawa-Praga
OLSZOWA 14, Tel. 49.

Fabryka maszyn i kamieni młyńskich
budowa młynów, Turbiny, Transmisyje i t. p.

ŚRODKI do ZĘBÓW
ELIKSIR, PROSZEK i PASTA
Ojców
BENEDYKTYNÓW
Opactwa SOULAC

WAŻNA UWAGA:
Flakony eliksiru Benedyktynów nie opatrzone plombą komory celnej rosyjskiej powinny być uważane za podróbione.



MODEL FLAKONU

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19
dom własny

S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Poleca:

Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwi, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.



Wyprzedajemy z dawnych zapasów

5,000 gąsiork. wina węg.

wytrawnego, średniego lub słodkiego po wyjątkowej cenie rub. 1 kop. 20. Dostawa 15 gąsiorków franko.

Skład Win i Koniaku

Braci KEMPNERÓW

Długa Nr 5. Telefonu Nr 772.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE
ORGANY, MELODYKONY
GEBETHNER i WOLFF
Warszawa. Krak.-Przed. 1?



IDEALNY POKARM

dla niemowląt i dla dorosłych, dotkniętych chorobą żołądka.

ZDROWIE niezniszczalne można pozyskać przez ćwiczenia psychofizyczne, opisane w nowym dziele WINCENEGO LUTOSŁAWSKIEGO p. t. „ROZWÓJ POTĘGI WOLI”, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa. Cena w oprawie rub. 1.20.

**LUDWIK SZUFA
KRAWIEC**

KRAKOW TELEFON 671

Magazyn Sukien i Okryć Damskich
Władysławy Kwiatkowskiej

Przeniesiony z Chmielnej 9

na Plac Św. Aleksandra 14 (Telefon 7383)

Poleca gotowe: Suknie wizytowe, Kostiumy angielskie, Bluzki od skromnych do najstrojniejszych, Spódnice do bluzek, Paski, Zaboty. Zamówienia przyjmują się z własnych i powierzonych materiałów.

HURTOWY I DETALICZNY
SKŁAD SUKNA I KORTÓW

LEONA MESSINGA

MIODOWA № 7

poleca modne materiały krajowe i angielskie. Na prowincję wysyła za zaliczeniem pocztowym.

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH
EKSTRAKT I KARMEŁKI

LELIWA

w Warszawie, ulica Zielna Nr 21, Telefonu Nr 59-54.
SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

Zadanie, mające za cel wywołanie porostu włosów, pozostało dotychczas nierozwiązane, pomimo poważnej i opartej na zasadach naukowych pracy w tym kierunku. A jednak są pewne pomyślnie wyniki w tej mierze. Nie ulega bowiem wątpliwości, że można spowodować

porost włosów

jeśli istnieje jeszcze t. zw. cebulka. Chodzi tylko o środek wzmacniający, czyszczący skórę i usuwający łupież. Te właśnie zalety posiadają esencja i MYDŁO „TATARO-CHMIELOWE”, wyrabiane w „Centralnym Laboratorium Chemicznym” (Czekay i Krystewicz) w Warszawie przy udziale sił Lekarskich. Sprzedaż w składach aptecznych.

HOTEL SAVOY

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT

Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządem. Centrum miasta.

E. UNIERZYSKI

CHMIELNA Nr 3

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.

Lekarz
dentysta

STEFAN ŻYCZKOWSKI NOWOGRODZKA № 26
Telefonu 167.49.

MASZyny DO SZycIA
KOMPANJI SINGER

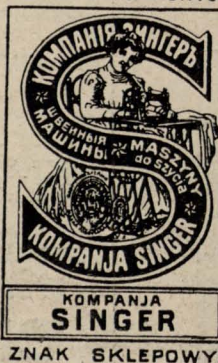
SPRZEDAJĄ SIĘ

WYŁĄCZNIE W SKLEPACH WŁASNYCH KOMPANJI

WYPŁATA RATAMI

OD

1
RUB. TYG.



MASZyny
RĘCZNE

OD **25**
R.

WYSTRZEGAĆ SIĘ
NAŚLADOWNICTW.

KOMPANJA
SINGER
ZNAK SKLEPOWY.

SKLEPY WE WSZYSTKICH
MIASTACH KRÓLESTWA.

KSIEGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36
przeszła na własność GEBETHNERA i WOLFFA.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

KSIEGARNIA

GEBETHNERA i WOLFFA

w Warszawie

poleca:

WYBÓR POEZJI

ARTURA OPPMANA (OR-OTA)

wydanie nowe zmienione i powiększone, z portretem autora.

Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

ODPOWIEDZI.

Prenumerotorowi. Termin konkursu *Sfinks*a: 4 września r. b. (setna rocznica urodzin Słowackiego); nagroda jedna, rb. 150, niezależnie od tego honorarium za druk w *Sfinksie* — 10 kopiejek za wiersz. Bliższe informacje w redakcji *Sfinks*a, Hortensya 4, tel. 110. 99.

W-ny S. K. P. w Włocławku. Adres p. Mieczysława Frenkla, Warszawa, Hoża 15. — Akademia rolnicza w Dublanach pod Lwowem, Galicya.

P. Alfr. Kurn. w Łukowie. Tygodnik może umieszczać tylko rzeczy prawdziwie doskonałe, a tego nie można powiedzieć o Pańskich wierszach, w których, jak sam Sz. P. powiada, trafiają się „rymy kulawe”. Rękopis do zwrotu, za nadesłaniem kosztów przesyłki pocztowej.

P. J. Iwanowskiemu. Katalogi heraldyczne znają aż siedm rodzin tego nazwiska, różnego pochodzenia i pięcioletnich się różnymi herbami: Łodzia, Odrowąż, Ogończyk, Pobóg, Rogala z odmianą, Rola i Ślepowron. O którą z nich Sz. Panu idzie?

P. Wł. Z. „Quo vadis?” i Trylogia mieszczą się w 28 tomach. Przy Tygodniku wyszło 81 tomów dzieł Sienkiewicza. Cena rb. 2. za 12 tomów broszur. i rb. 4 — za 12 tom. opraw. Kilka tomów jest wyczerpanych.

„Ja, nie kto inny”. Do kosza!

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.

Michał Jasiński i s-ka
w Warszawie, Skład maszyn i potrzeb młeczarskich. Biuro techniczno-młeczarskie. Artykuły hodowlane, gniotowniki do owsa, żyta i jęczmienia. Szatkownice do jarzyn. Maszyny do bieleńia i dezynfekcyi
KRAK.-PRZEDM. 7 i t. p. Przedstawiciele firm: Sveaseparatoru—Stokholm. Simona-Frères - Cherbourg, Chr. Hausen—Copenhaga i t. d. Sprzedaż i zakup masła. Katalog bezpłatnie.